

ROK 1961

ZESZYT 10 (195)

PORADNIK JEZYKOWY

GRUDZIEŃ
1961



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „WIEDZA POWSZECHNA”

Zatwierdzone pismem Min. Oświaty nr VI Oc-2755/49 z dnia 30 stycznia
1950 r. do użytku szkolnego jako pożądane w bibliotekach
nauczycielskich

TREŚĆ NUMERU:

KAREL OLIVA: Tworzenie przymiotników od wyrażeni przyimkowych	433
DANUTA BUTTLER: O metaforyce prasowej	440
BOHDAN STRUMIŃSKI: Ukrainizmy gramatyczne we współczesnym języku polskim (Dokończenie)	461
WITOLD MAŃCZAK: O racjonalny dobór haseł w słownikach	471
RECENZJA:	
ANDRZEJ MARIA LEWICKI: Andrzej Koronczewski: „Polska terminologia gramatyczna”	476
GABRIEL KARSKI: O „księżycowych” neologizmach w języku francuskim	478
W. D.: Objasnienia wyrazów i zwrotów	479

**WYDAWCA: PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO
„Wiedza Powszechna“**

**REDAKCJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 72, PALAC STASZICA.
REDAKCJA SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO.
KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR WITOLD DOROSZEWSKI
(REDAKTOR NACZELNY), DOC. DR HALINA KURKOWSKA, DR
WANDA POMIANOWSKA, DOC. DR ANDRZEJ SIECZKOWSKI, PROF.
DR STANISŁAW SKORUPKA, PROF. DR ZDZISŁAW STIEBER, PROF.
DR WITOLD TASZYCKI
SEKRETARZ REDAKCJI: MGR ZOFIA LOSSAN**

Cena pojedynczego numeru 6 zł, prenumerata roczna 60 zł.

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

REDAKCJI SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO
(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

TWORZENIE PRZYMIOTNIKÓW OD WYRAZEŃ PRZYIMKOWYCH

Zagadnienie tworzenia przymiotników na podstawie połączenia *przymimek* + *rzeczownik* jest z punktu widzenia sławistyki ogólnej o tyle ciekawe, że ów proces słotwórczy jest w języku polskim bardziej rozwinięty niż we wszystkich innych językach słowiańskich. Istnieją wprawdzie w innych językach słowiańskich formacje podobne, mają one jednak zakres o wiele węższy i w zasadzie tworzenie nowych wyrazów tego typu jest raczej rzadkie, można nawet powiedzieć, że wyrazy te tworzy się *ad hoc*.

Schemat tworzenia jest następujący:

przymimek (1) + *rzeczownik* (2) > *przymiotnik złożony z przymimka* (1) i *formacji przymiotnikowej pochodzącej od rzeczownika* (2). Poszczególne komponenty przymiotnika złożonego mogą w większości wypadków występować samodzielnie, przy czym nie zmienia się ich treść semantyczna.

A więc np.

po Niemcach — <i>poniemiecki</i>	nad Wisłą — <i>nadwiślański</i>
po rozbiorach — <i>porozbiorowy</i>	poza lekcjami — <i>pozalekcyjny</i>
po urazie — <i>pcurazowy</i>	poza frontem — <i>pozafrontowy</i>
przy drodze — <i>przydrożny</i>	przed powstaniem — <i>przedpowsta-</i>
przy zakładzie — <i>przyzakładowy</i>	<i>niowy</i>
pod Warszawą — <i>podwarszawski</i>	od dołu — <i>oddolny</i>
pod biegunem — <i>podbiegunowy</i>	od autora — <i>odautorski</i> .

Ogólnie można powiedzieć, że jest to bardzo produktywny typ słotwórczy; jeżeli prześledzić częstość występowania tego typu np. w gazetach, czasopismach lub w najnowszej produkcji beletrystycznej, można stwierdzić coraz to większą liczbę tych nowotworów. Formacje te występują w polszczyźnie mniej więcej od drugiej połowy XIX wieku (*przygraniczny* — Moraczewski, Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej, *przyrogatkowy* — Wolski, Domek przy ul. Głębokiej, *przykominkowy* — Sienkiewicz, Listy z podróży itd.); są to jednak formacje dość sporadyczne i stosunkowo często chodzi tu (w myśl ówczesnych kryteriów) o indywidualizmy

Na podstawie materiału zgromadzonego w Redakcji Słownika Języka Polskiego w Warszawie i w pracowni słownika polsko-czeskiego w Zakładzie Slawistyki Czechosłowackiej Akademii Nauk w Pradze można dojść do wniosku, że do znacznego rozpowszechnienia się tego typu słowotwórczego dochodzi dopiero po drugiej wojnie światowej. W literaturze pięknej oraz w tekstach dziennikarskich pojawiają się te formacje w ciągu ostatnich lat piętnastu bardzo często. Chociaż lista tych przymiotników jest dzisiaj już bardzo bogata, to jednak główną przeszkodą do dokładniejszego opracowania językoznawczego tego zagadnienia jest to, że na razie nie uzbierano wystarczającej ilości materiału. Liczba przykładów, zebranych przy ekscerpacji literatury pięknej, nie jest w pełni miarodajna; cała ta bogata kartoteka stanowi tylko fragmentaryczną dokumentację pewnych zjawisk z tym zagadnieniem związanych. Cały szereg przykładów występuje bowiem prawie wyłącznie w literaturze naukowej i fachowej, zwłaszcza jako terminy specjalne. Chociaż jest rzeczą powszechnie wiadomą, że tworzenie terminologii fachowej nie zawsze się zgadza z charakterem języka i z zasadami słowotwórczymi — często chodzi o neologizmy utworzone wyraźnie ad hoc, których nie można uważać za trwałą część składową szeroko pojętego zasobu słownego — to na pewno byłoby ciekawe i ważne choćby przybliżone ustalenie tego, jak są rozmieszczone te przymiotniki w poszczególnych dziedzinach specjalności. Nie jest to bez znaczenia w badaniu rozwoju tej tendencji słowotwórczej; takie opracowanie przyczyniłoby się niewątpliwie do wyjaśnienia różnych problemów, takich jak np. zagadnienie semantycznej funkcji przyimków, klasyfikacja ich grup znaczeniowych itp. Jednak tego zagadnienia na razie gruntownie opracować nie sposób, bo nigdzie nie ma wystarczająco obfitego materiału dokumentacyjnego, na którego podstawie można by owo rozmieszczenie i częstość występowania tych formacji pokazać. Opierając się na materiale, który obecnie jest do dyspozycji, można jednak dojść do pewnych ogólniejszych wniosków. Są to wnioski o charakterze bardzo różnorodnym, nie znajdujące się na jednej płaszczyźnie badań językoznawczych; wynika to z tego, że wchodzi tu w grę w mniejszym lub w większym zakresie szereg czynników, które są wzajemnie powiązane ze sobą, mogą się jednak w pewnych zakresach ścierać. Te czynniki są również heterogeniczne; badając przymiotniki odrzeczownikowe tego typu trzeba wziąć pod uwagę elementy słowotwórcze, fonetyczne, semantyczne oraz sam fakt występowania podobnych pod względem znaczeniowym przymiotników w dotychczasowym zasobie słownym i możliwość zmiany ich treści semantycznej. Tak samo jest rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że ważną rolę w wypadkach rozpowszechniania się nowego typu słowotwórczego odgrywa częstość występowania. Często używanie wyrazu — chociaż nawet niepoprawnie utworzonego lub pierwotnie specjalnego — często po-

ciąga za sobą fakt, że wyraz staje się znany nawet w takich środowiskach, które na ogół nigdy nie spotykają się z pewną terminologią fachową. I tutaj nadmienić należy, że wyraz o charakterze umotywowanym, tzn. taki, którego treść semantyczną można odtworzyć np. przez transformację czy lepiej retransformację do pierwotnej wyjściowej konstrukcji przyimkowej, stosunkowo łatwo może stać się podstawą tworzenia analogicznego. To zresztą dotyczy słowotwórstwa w ogóle i we wszystkich epokach; okres dzisiejszy zaś sprzyjający szybkiemu rozpowszechnianiu się neologizmów (prasa, radio, książki itd.) umożliwia o wiele szybszy, bardziej intensywny przebieg takiego procesu niż kiedykolwiek w przeszłości.

Fakty, które można stwierdzić na podstawie obecnie gromadzonego materiału, są następujące:

1) W języku polskim występuje bardzo produktywny typ słowotwórczy przymiotników urabianych według schematu przytoczonego na początku artykułu. To stwierdzenie nie oznacza jednak, że ten typ słowotwórczy jest w swoim zasięgu nieograniczony. Nie wszystkie bynajmniej połączenia przyimkowe mogą stanowić podstawę do utworzenia przymiotnika złożonego. Nie będziemy się tutaj zajmowali ograniczeniami wynikającymi z treści semantycznej rzeczownika wchodzącego w skład konstrukcji. Poprzestaniemy tylko na obserwacji charakteru przyimka. A więc możliwość tworzenia jest zależna od rodzaju przyimka i od jego treści semantycznej. Nie ma dokumentacji dla wyrażeń przyimkowych zawierających przyimki pochodne (np. *naprzeciw*, *pośród*, *wobec*, *dzięki* itp.). Wyjątek stanowią tylko przyimki *wewnątrz* (np. *wewnątrzzakładowy*, *wewnątrzpartyjny*), *między* (np. *międzyplanetarny*), *około* (np. *okolostoneczny*) i *przeciw* (np. *przeciwsloneczny*, *przeciwpożarowy*). O przyimkach tych będzie mowa dalej.

W ogóle nie występują jako część składowa wymienionego schematu przyimki złożone *z/s + inny przyimek* (np. *znad*, *spod*, *spoza*, *zza*, *sprzed* itp.).

2) Produktywność typu ogranicza się więc prawie wyłącznie do wyrażeń z przyimkami pierwotnymi. Jednak nawet w tej kategorii można zauważyć dalsze ograniczenia. Nie tworzy się np. wcale przymiotników złożonych od wyrażeń z przyimkami *dla*, *k*, *o*, *u*, *w*. W innych wypadkach tworzenie jest raczej sporadyczne, ogranicza się do terminologii fachowej, przy czym nie obserwuje się tendencji do tworzenia analogicznego. Jedyne np. bardziej znane formacje z *na* to *nasercowy* i *nasenny* (np. *środek*), obie z dziedziny terminologii medycznej. Tendencja słowotwórcza, którą omawiamy, przejawia się więc tylko w konstrukcjach z przyimkami *bez*, *między* (*po*)*nad*, *po*, *pod*, *przed*, *przy*, *przeciw*, *wewnątrz*. Mniejszą produktywność wykazują konstrukcje z przyimkami *do*, *od*, (*o*)*około*, *mimo*, *poza*, *za*.

Jeżeli się przeprowadzi analizę semantyczną przymków, mogących wchodzić w skład przymiotnika złożonego, to można stwierdzić, że przymki te występują w tych formacjach jako ich część składowa oznaczająca przede wszystkim albo położenie czy też kierunek w przestrzeni (*nad, pod, przed, za* itp.), albo też położenie faktu wyrażanego przez rzeczownik na osi czasowej (obrazowo mówiąc wyraża się w takim wypadku „położenie w czasie“). Tu należą również przymki o charakterze wybitnie przestrzennym *około, między i przeciw*, które są wprawdzie pochodne, lecz nie mają odpowiedników prostych. W tym wypadku więc punkt widzenia semantyczny zwyciężył nad ograniczeniami formalnymi. Jest jednak również wyjątek semantyczny, mianowicie przymek *bez*. Do tego stwierdzenia wypada dodać pewne uwagi uzupełniające. A więc: pomimo że podziału struktury znaczenia przymków nie można rozumieć zupełnie analogicznie jak struktury wyrazów pełnoznaczeniowych, to jednak nietrudno chyba dowieść, że przymki mają z reguły jedno lub dwa znaczenia, zazwyczaj określające miejsce lub czas. To są znaczenia, które przytacza się zwykle w słownikach na pierwszym miejscu (tzw. znaczenia podstawowe). Kolejne dalsze rozdziały przymkowe artykułu hasłowego w słownikach dotyczą zwykle pewnych użyc w określonych konstrukcjach, nie zaś dalszych samodzielnych znaczeń przymka. Przymek *bez* — ów wyjątek, o którym była już mowa — nie wyraża jednak ani przestrzeni, ani czasu. Jego jedyne znaczenie samodzielne odbiega jakościowo od wartości semantycznej wszystkich pozostałych przymków; wyraża on nieistnienie, brak istnienia jakiegoś elementu rzeczywistości. Ponieważ zaś morfemy wyrażające nieistnienie na ogół wykazują dużą łączliwość i można je właściwie dołączać prawie do wszystkich wyrazów pełnoznaczeniowych (np. *nie-człowiek, nieżelazny, nie słyszać, nikt, nic, nigdzie, niedobrze* itp.), nie ma w tym nic dziwnego, że przymek należący właśnie do kategorii semantycznej „nieegzystencji“; zdradza skłonność do łatwego i stosunkowo częstego łączenia się z przymiotnikami według przytoczonego powyżej schematu słowotwórczego.

3) Przymiotniki omawianego typu nie rozszerzają zasięgu swojego znaczenia i nie nabywają nowych samodzielnych znaczeń. Np. przymiotnik *przybrzeżny*, wywodzący się z połączenia *przy brzegu*, przy czym brzeg tutaj to «skraj, granica... między zbiorowiskiem wody a lądem...»¹, w takich połączeniach jak *przestrzeń przybrzeżna, skały przybrzeżne, wody przybrzeżne, żegluga przybrzeżna* nie ma już znaczenia «będący przy brzegu, skraju, krawędzi przedmiotu»; *adnotacja przy brzegu papieru* nie nazywa się *adnotacją przybrzeżną*, chociaż z punktu widzenia czysto formalnego jest to określenie możliwe, tym bardziej że istnieje *adnotacja*

¹ Definicja według Słownika Języka Polskiego, tom I, Warszawa 1958.

międzywierszowa (choć jest to formacja odosobniona i indywidualna). Inaczej mówiąc: przymiotnik omawianego typu tworzony jest od wyrażenia przyimkowego, w którym rzeczownik ma pewne określone znaczenie (1). O które znaczenie wyrazu wieloznacznego chodzi, można stwierdzić na podstawie konkretnego kontekstu, w którym występuje dane wyrażenie przyimkowe. Przymiotnik złożony ma więc tylko jedno znaczenie, wyraźnie ograniczone. Od tego samego wyrażenia przyimkowego, w którym występuje rzeczownik mający znaczenie (2), nie tworzy się jednak formacji przymiotnikowej w identyczny sposób.

Formacji przymiotnikowej o znaczeniu (1) nie używa się więc dla znaczenia (2). Z tego wynika, że przymiotniki złożone omawianego typu są monosemantyczne. Zahamowań, które tutaj działają, nie można wyjaśnić od strony formalnej; do ich interpretacji można dojść tylko przyjmując semantyczny punkt widzenia. Znaczenie każdego takiego przymiotnika jest wyraźnie konkretne, użycie metaforyczne jest w znacznym stopniu ograniczone. Są to więc formacje przypominające z punktu widzenia ogólnej klasyfikacji semantycznej wyspecjalizowane terminy fachowe, które w ogóle nie zdradzają tendencji do wieloznaczności. Zresztą cały szereg przymiotników tego typu występuje w terminologii fachowej, a więc właśnie tam, gdzie wieloznaczność jest zjawiskiem niepożądanym i gdzie zastosowanie pewnego typu słowotwórczego ma z reguły za cel stworzenie semantycznie ograniczonej jednostki leksykalnej. Jeżeli omawiane tutaj przymiotniki powstają jako indywidualizmy, odnoszą się również do całkiem konkretnej sytuacji, w której znaczenie rzeczownika w wyrażeniu przyimkowym jest określone zupełnie wyraźnie. Wszystkie wymienione tutaj okoliczności wpływają wystarczająco skutecznie na zahamowanie rozwoju polisemii nowotworzonych przymiotników. Jeżeli w wyjątkowych wypadkach można zauważyć polisemię przymiotnika, to a) wszystkie znaczenia przymiotnika odnoszą się do jednego znaczenia rzeczownika, b) polisemia powstaje w zależności od semantycznej treści rzeczowników, z którymi przymiotnik się łączy. Np. przymiotnik *docelowy* ma dwa znaczenia: 1) «prowadzący, zmierzający do celu» (*droga docelowa, przelot docelowy*), 2) «stanowiący cel czego, będący celem» (*dworzec docelowy, lotnisko docelowe*). W obu wypadkach jednak punktem wyjścia jest jedno i to samo znaczenie rzeczownika cel «to, do czego się zmierza, dąży»².

4) Jeżeli istnieje para przyimków o praktycznie identycznej funkcji znaczeniowej, to tworzy się przymiotniki od tych wyrazów przyimkowych, w których skład wchodzi przyimek częściej używany. Np. przyimek

² Definicje i przykłady według Słownika Języka Polskiego, tom 2, Warszawa 1960, tom 1, Warszawa 1958.

do, chociaż jego produktywność przy tworzeniu przymiotników nie jest całkowicie nieograniczona, tworzy — wskutek bardzo wszechstronnego użycia — przymiotniki nawet w tych wypadkach, kiedy można by było użyć przyimka *k/ku* i kiedy byłoby to ze względu na dzisiejszy stan semantyczny bardziej wskazane. Przyimek *k/ku* oznacza ruch w przestrzeni w pewnym kierunku lub orientację przedmiotu w przestrzeni w pewnym kierunku. Jednak w takich wypadkach używa się przy tworzeniu przymiotników omawianego typu połączeń z przyimkiem *do* (np. *docelowy*). Przyimek *k/ku* ma bardzo ograniczone możliwości użycia i jego częstość występowania jest znikoma. Podobnie przedstawia się sprawa z przyimkami *przy* i *u*. Przyimek *u* w znaczeniu «w pobliżu czego» występuje obecnie bardzo rzadko i przy tworzeniu przymiotników został całkowicie wyparty przez przyimek *przy*, występujący o wiele częściej.

5) W omawianym typie słowotwórczym można zauważyć dążenie do stosowania tych przyimków, które zapewniają formacji maksymalną wyrazistość fonetyczną i słuchową. Ta tendencja uzasadnia użycie przyimka pochodnego *wewnątrz* zamiast prostego *w*, chociaż połączeniem podstawowym jest *w + rzeczownik* a rzadziej, raczej tylko potencjalnie, *wewnątrz + rzeczownik*, np. *dyskusja w zakładzie* (połączenie *dyskusja wewnątrz zakładu* nie jest zupełnie naturalne). Jednak użyje się w tym wypadku przymiotnika *wewnątrzzakładowy* (*dyskusja wewnątrzzakładowa*). Jest rzeczą chyba jasną, że przyimek *w* jest w wymowie mało wyrazisty i że z niektórymi początkowymi spółgłoskami następującej formacji przymiotnikowej tworzyłby grupy trudne do wymówienia. W przeciwieństwie do niego przyimek *wewnątrz* jest całkowicie wyrazisty.

6) Dążenie do podkreślenia strony semantycznej przymiotnika, wyrażającego już w swojej prostej niezłożonej formie właściwie to samo co konstrukcja *przyimek + rzeczownik*, doprowadza w najnowszym okresie do tego, że używa się przymiotnika złożonego w wypadkach, w których byłaby wystarczająca formacja podstawowa, niezłożona.

Forma złożona jest właściwie zbędna; w pewnym sensie można by tutaj mówić o formacji pleonastycznej. Np. przymiotnik *zakładowy* w znaczeniu «należący do zakładu, tworzący część składową zakładu lub jego wyposażenia» wystarcza całkowicie; pomimo tego występuje przymiotnik *przyzakładowy*, podkreślający swoją formą właśnie wymienione znaczenie. Jest to przejaw dążności do różnicowania formalnego jednostki leksykalnej *zakładowy* na podstawie różnicy semantycznej; w połączeniach takich, jak np. *żłobek zakładowy*, *narada zakładcwa*, *rada zakładowa* czy *fundusz zakładowy* są widoczne odcienie znaczeniowe mieszczące się w ogólnym znaczeniu przymiotnika *zakładowy*. Możliwość użycia formacji złożonej *przyzakładowy* zawiera w sobie jednocześnie możliwość bardziej szczegółowej dyferencjacji znaczeniowej, możliwość wydzielenia

pewnego wycinka znaczenia ogólniejszego. Zasięg łączliwości jednostki leksykalnej *pryzakładowy* zawiera więc te możliwe użycia, które można określić definicją «stanowiący uboczną (nie podstawową) część zakładu», tj. odnoszący się np. do spraw bytowych pracowników, do spraw szkoleniowych itp. (*źłobek przyzakładowy, technikum przyzakładowe i inne*).

To samo dotyczy przymiotników *autorski* i *odautorski*. Przymiotnik *autorski* ma szerszy zakres znaczeniowy, który można zdefiniować najogólniej jako «dotyczący autora» (np. *honorarium autorskie, inwencja autorska*). Natomiast przymiotnik *odautorski* ma węższy zakres; oznacza «pochodzący od autora», np. *narracja odautorska, notka odautorska* itp.

Na zakończenie może warto by podać jeszcze dwa punkty wynikające z poprzednich rozważań i odnoszące się do bardziej ogólnego badania lub — cum grano salis — porządkowania struktury leksykalnej języka.

Otóż w danym wypadku:

1) Typ słowotwórczy wzbogacający zasób słowny nowotworami ma teoretycznie z punktu widzenia formy więcej możliwości tworzenia niż je w rzeczywistości wykorzystuje.

2) Różnica między teoretycznie możliwą liczbą formacji tworzących według danego typu słowotwórczego a liczbą formacji rzeczywiście zrealizowanych jest uwarunkowana przez:

- a) stronę semantyczną składników nowotworu,
- b) potrzebę wyodrębnienia językowego pewnego elementu rzeczywistości; poza dziedziną terminologii specjalnej, wchodzi w grę również częstość występowania nowotworu.

Praga.

Karel Oliva

W związku z interesującym artykułem dra Olivy, poruszającym temat u nas dotychczas nie poruszany, nasuwa mi się jednak drobna uwaga. Tam, gdzie jest brzeg lądu, ląd się kończy. Żegluga przybrzeżna to żegluga w pobliżu brzegów. „Adnotacja przy brzegu papieru“ byłaby adnotacją napisaną już nie na papierze i tym się tłumaczy niemożliwość wyrażenia *adnotacja przybrzeżna*. W naszym Słowniku wśród znaczeń wyrazu *brzeg* wymieniliśmy m. in. znaczenie „przyległego [do wody] obszaru lądowego“, por. „Na szumiącego Niemna brzegach niedostępnych wznosi się gmach“, ale jeżeli chodzi o papier, to można coś napisać raczej *na brzegu* (a właściwie: na marginesie) niż *przy brzegu*. Zresztą nawet w związku z granicą między lądem a wodą *przy brzegu* — od strony wody.

W. D.

O METAFORYCE PRASOWEJ

W jednym z lubelskich pism codziennych opublikowano utwór poetki (o bardzo zresztą swoistej składni i metaforyce), którego fragment mógłby posłużyć jako motto tego artykułu:

„Metaforę sangwiniicy dzielni
Wysmażają niech jak na patelni
Jaja skisłe“. (Szt. L. 30/61).

Przedmiotem bowiem naszych rozważań będą źródła wykolejeń w zakresie luźnych połączeń wyrazowych o charakterze przenośnym, tworzonych doraźnie dla osiągnięcia określonych celów stylistycznych, inaczej mówiąc — metafor indywidualnych.

Nasze uwagi będą się odnosiły jedynie do pewnego ich typu — do przenośni stylu publicystycznego. Czy konieczne jednak jest to zastrzeżenie, czy istotnie mają one jakieś właściwości swoiste, wyróżniające je spośród obrazowych środków innych form wypowiedzi (prozy artystycznej, poezji)? Poświęćmy nieco miejsca tej właśnie sprawie.

W pracach z zakresu stylistyki i leksykologii wyróżnia się często dwa typy metafor: twory indywidualne o funkcji ekspresywnej, użyte w sposób niepowtarzalny (zwane metaforami stylu¹ lub stylistycznymi²) i związki przenośne, wielokrotnie powtarzane, utrwalone w określonej funkcji znaczeniowej (metafory języka¹, przenośnie leksykalne²). Operuje się także pojęciem metafory artystycznej i przenośni potocznej. W pierwszej z nich dominują pierwiastki wyobrazeniowe i emocjonalne, natomiast jej treść intelektualna jest często sygnalizowana ogólnikowo, w sposób wieloznaczny, trudno ją czasem „przetłumaczyć“ i wyrazić za pomocą synonimicznych środków leksykalnych (przytoczmy jako przykład jedną z przenośni Przybosia: „Ciepło stało kopicami na murawie“ („Na nowiu“)³. Fakt ten umożliwia odbiorcy swobodę jej indywidualnej interpretacji i osobistego przeżycia. Poza pewną „ramowością“ treści przenośnię artystyczną cechuje żywy typ obrazowości, odwołujący się do plastycznych, wyrazistych, ale zarazem niezwykłych, trudno dostrzegalnych związków między zjawiskami.

Przenośnie potoczne przeciwnie charakteryzuje przewaga funkcji komunikatywnej, dążność do uściślenia, ukonkretnienia opisu zjawisk

¹ A. H. Гвоздев: Очерки по стилистике русского языка. Изд. второе. Москва 1955. s. 126.

² Por. A. Iskos, A. Lenkova: Deutsche Lexikologie. Leninigrad 1960, r. 125, M. K. Морен, Н. Н. Тетереvникова: Стилистика современного французского языка. Москва 1960, s. 199.

³ Julian Przyboś: Rzut pionowy. Warszawa 1952.

przez odwołanie się do obrazu. Zresztą obrazowość ich jest bardzo krótkotrwała; związki metafory potocznej ze znaczeniem dosłownym szybko słabną i w rezultacie kształtują się jej wtórne znaczenia realne, tylko genetycznie lub historycznie przenośne⁴.

Jaki jest stosunek przenośni używanych w tekstach prasowych do tych dwu zasadniczych typów metaforyki? Są one, ogólnie rzecz biorąc, bliższe przenośniom potocznym. Łączy je z nimi tendencja do komunikatywności, do osiągnięcia precyzji i konkretności wypowiedzi, a w związku z tym odwoływanie się do pojęć powszechnie znanych, zawierających rzeczową treść. Przenośnie publicystyczne w większym jeszcze stopniu niż potoczne apelują do pewnej wiedzy o świecie, wspólnej ogółowi odbiorców.

Dlatego też tak często elementami konstrukcyjnymi przenośni dziennikarskiej są nazwy pojęć abstrakcyjnych i słownictwo związane z wszelkimi dziedzinami działalności człowieka, zwłaszcza terminy specjalne; czytamy więc o *architektonice* nastrojów w dziele dramatycznym (Śl. Ludu-Magazyn Niedz. nr 69, s. 3), o bibliotekach jako *stacjach przekazywanych* kultury (Szt. L. 36/61, Kultura i Życie, s. 1), o spółdzielniach pełniących funkcję *katalizatora* na rynku towarowym (PK 51/61), o *stężeniu* odinków sportowych w programie telewizyjnym (PK 5/61), a także o długoletnim *stażu* plotkarskim pani X (Dz P 6/61), o *deblu* redaktorów Telewizji (PK 51/61) i o polskiej muzyce w *konserwach* (Dz P 6/61 — utrwalonej na płytach, przyp. DB).

Z metaforą artystyczną wiąże przenośnie publicystyczne tendencja do oddziaływania emocjonalnego, do kształtowania również reakcji uczuciowych czytelnika wobec zawartych w nich treści. Przypomnijmy tylko jeden przykład: żartobliwą, celowo „famiarną“ przenośnię Wiernika:

„Polska potrzebuje stali ... Nasza sześciolatka to wielki żarłok, wiecznie głodny, nienasyconiec”⁵.

Można by powiedzieć, że metafora publicystyczna nieustannie oscyluje między oryginalnością, niecodziennością skojarzeń, zapewniającą ekspresywność — i odwoływaniem się do powszechnie znanych, „oczywistych“ związków między realiami, co z kolei gwarantuje jej maksymalną komunikatywność.

⁴ Definicje terminów „znaczenie genetycznie przenośne” i „znaczenie historycznie przenośne” podaje Hipolit Szkiładź w artykule „Przenośne znaczenia i przenośne użycia wyrazów”. *Poradnik Językowy* 9/1960 (s. 400 i nast.).

⁵ Bronisław Wiernik: *Podróż na Trzecią Płaszczyznę* (cykl reportaży), Warszawa 1954, s. 16.

O tym, że przeważa tendencja druga, że obrazowość nie jest w metaforze publicystycznej celem samym w sobie, lecz pośredniczy jedynie w przekazaniu i uprzyświeśnieniu treści intelektualnych, świadczy jeszcze jedna jej właściwość; przenośnie artystyczne są jednorazowe, niepowtarzalne, publicystyczne zaś cechuje powtarzalność; trafna, wyrazista metafora indywidualna często awansuje w publicystyce do roli stałego środka stylistycznego, sugestywnego właśnie dzięki swej powszechnej zrozumiałości, działającego jak hasło. Stąd bierze początek okresowa moda na pewne przenośnie, tu należy szukać źródła błyskotliwej kariery „fali“, „klimatu“, „wachlarza“, „ofensywy“, „frontu“ itp., kończącej się nabraniem przez niektóre z nich stałych, niemal terminologicznych znaczeń (*żelazna kurtyna, obóz pokoju*).

W przeciwieństwie do niczym nie ograniczonej wielokrotności użyć przenośni potocznych powtarzalność metafor publicystycznych jest tylko częściowa; jej granicę stanowi groźba szablonu, zatury z zdolności oddziaływania, zblaknięcia wyrazistości, tak ważnej dla owych „argumentów w obrazach“.

Z językoznawczego punktu widzenia przenośnie używane w prasie stanowią interesującą dziedzinę obserwacji. Na ich przykładzie można niejako „na gorąco“ uchwycić proces „powielania“ pierwotnie doraźnego, jednorazowego użycia przenośnego wyrazu, doprowadzający do utrwaleńia się w świadomości ogółu jego nowego zakresu znaczeniowego — a więc do powstania nowego, przenośnego znaczenia⁶.

Ta dwoistość cech metafor dziennikarskich, zbieżnych w mechanizmie powstania i oddziaływania niekiedy z przenośnymi frazeologizmami potocznymi, kiedy indziej — z obrazowymi środkami stylu artystycznego — nie jest zjawiskiem samoistnym, wynika z ogólnych właściwości stylu publicystycznego, stanowiącego swoisty konglomerat elementów kilku odmian stylowych języka polskiego⁷.

Fakt ten komplikuje niezmiernie ocenę poprawności przenośni publicystycznych i zmusza do stosowania swoistego zespołu kryteriów w każdym szczegółowym przypadku, co zdaje się podważać jej obiektywność, a tym samym — i celowość.

⁶ Trzeba się jednak zastrzec, że nasze uwagi o charakterystycznych cechach przenośni prasowych odnoszą się przede wszystkim do ich najliczniejszej grupy: metafor związanych z gatunkami typowo dziennikarskimi, „informacyjnymi”; twórczość z pogranicza dziennikarstwa i literatury będzie cechowała użycie metafor bliskich obrazowym środkom stylu artystycznego.

⁷ „Jest to (...) styl łączący w pewnym stopniu cechy stylów nieartystycznych i artystycznego”. (H. Kurkowska, S. Skorupka: *Stylistyka polska. Zarys*. Warszawa 1959, s. 304).

Próby takiego wartościowania są zawsze narażone na zarzut przesadnego logizowania i tradycjonalizmu, stającego w poprzek wszelkiej inwencji językowo-stylistycznej i bezprawnie wkraczającego w dziedzinę obcej wszelkim formułkom, indywidualnej twórczości. Istotnie, wyrokowanie o poprawności lub błędności „jednorazowej” przerośni jest rzeczą nie najłatwiejszą. Trudno przecież w tym zakresie operować pojęciem błędu rozumianego jako odstępstwo od normy i formułować wskazówki pozytywne; niemożliwe jest danie jakiejś ogólnej „recepty” na tworzenie sugestywnych, harmonijnych metafor, ich trafność bowiem ma podłoże pozajęzykowe, zależy od umiejętności obserwowania zjawisk i dostrzegania ich podobieństw. Nieco słuszności jest i w zarzucie subiektywizmu ocen. Często bowiem trudno go się ustrzec w ustalaniu granicy między wykolejeniem — a nowym, zaskakującym, ale trafnie użytym środkiem stylistycznym, między nieprzeciętnością — i manierą.

Przytoczmy przykład; autorka recenzji książki „Na krawędzi rozumu” (recenzji — dodajmy — krytycznej i sprzecznej z pochlebną opinią o tej publikacji, wyrażaną przez ogół recenzentów) pisze w sposób następujący:

„Ale jeśli runąć, to z krawędzi należyście wybitnej, przekładanej na wiele języków i wyróżnionej mnogimi nagrodami. Odwagi więc — mówię sobie — spadajmy...” (EK 78/61, s. 6).

Można by się dopatrywać w tej przerośni celowej trawestacji znanego powiedzenia „jak spaść — to z dobrego konia” i świadomego, żartobliwego operowania dwuznacznością wyrazu „krawędź”, a więc konsekwentnego i przemyślanego „chwytu” stylistycznego. Może się jednak wydawać, że zamierzenia autorki zostały w pewien sposób wykolejone, że obiektywna absurdalność połączenia „krawędź przekładana na wiele języków” okazała się silniejsza niż sugerowana czytelnikowi żartobliwa umowność, że wobec tego elementy konstrukcyjne metafory zaczęły niejako żyć własnym życiem, wywołując wprawdzie efekt humorystyczny, odmienny jednak od zaplanowanego przez autorkę, wynikający z nonsensowności wypowiedzi.

A oto przykład inny:

„Największą udręką młodości jest napór pragnień. Cały świat nęci, chciałoby się wszystko widzieć, wszystkiego dotknąć, wszystkiego spróbować i doświadczyć (...) *Motor pragnień działa na pełnych obrotach, a hamulec? Hamulce są słabe.*” (N Rz 60/61, s. 5).

Kilka osób (niepolonistów) zapytanych przeze mnie o zdanie na temat tej przerośni, uznało ją za dziwaczną i rażącą. Wydaje się, że na taką ocenę miał wpływ jedynie fakt nowości, nietradycyjności typu przerośni,

którego realizację stanowi zacytowany przed chwilą przykład — metafor z zakresu nieobrazowego słownictwa specjalnego, zestawiających doznania psychiczne z procesami technicznymi. Nie ma chyba jednak żadnych obiektywnych podstaw do uznania analizowanej przenośni za wyko-lejenie.

Jest zaskakująca, ale nie nielogiczna — jej składniki wiążą się ze sobą w sposób naturalny, odwołują się do tej samej dziedziny pojęć (mo-tor — hamulec); ich zastosowanie nie stanowi wykroczenia przeciw za-kresowi ich tradycyjnych użyczeń przenośnych (pragnienia mogą być *moto-rem* czyjś postępowania, można być pozbawionym *hamulców* moral-nych) — ponadto zaś jest zgodna z konwencją stylistyczną metaforyki dziennikarskiej, szczególnie często odwołującej się — jak już wspomnie-liśmy — do terminów, słownictwa zawodowego itp.

Możliwość istnienia tak znacznych rozbieżności w ocenie tych sa-myh przykładów zdaje się przemawiać za tym, że wyrokowanie o traf-ności czy błędności metafor trzeba zostawić odczuciu każdego czytelnika, jego indywidualnemu „dobremu smakowi stylistycznemu“. Sprawa war-tościowania przenośni nie jest jednak wyłącznie przedmiotem rozważań teoretycznych, wiąże się ściśle z praktyką stylistycznego redagowania tek-stu; stykają się z nią „na co dzień“ adiustatorzy i korektorzy: chodzi o to, by ich decyzje w mniejszym stopniu opierały się na osobistych upodoba-niach, w większym zaś — uwzględniały pewne przesłanki obiektywne. Może jakaś wspólna reakcja czytelników i redaktorów stylistycznych skłó-ni wreszcie rzeczników nieograniczonej swobody w zakresie tworzenia przenośni, „producentów“ bombastycznych, absurdalnych metafor do za-przestania „szkodnictwa stylistycznego“ i nonszalanckiego żonglowania słowami, będącego skrajnym wyrazem lekceważenia odbiorców. Trudno się niestety powstrzymać od tych ostrych sformułowań, skoro w tekście recenzji teatralnej spotyka się na przykład takie oto metapotwory:

„Wspaniałe są owe *cysterny jadu*, *wytrawnie wymierzane i wysmakowywa-ne* (! DB), a *dolewane* przez reżysera do *jadów autorskich*. *Tak końską, oczyszczają-cą dawkę zjadliwości* rzadko uświadczysz na naszych scenach, *ofiarnie pochyla-jących się nad losem wszelkiego żywego stworzenia*. Strzykawką, przy pomocy której wsącza reżyser swe trucizny, *jest błazen Tersytes*“. (PK 50/60 s. 6).

*

Przejdźmy teraz do kwestii szczegółowych kryteriów oceny popraw-ności przenośni publicystycznych. Podstawy teoretyczne wartościowania obrazowych środków języka zostały sformułowane w „Kryteriach po-

prawności językowej⁸. Za podstawowy sprawdzian nienaganności połączenia wyrazczego o funkcjach ekspresywnych profesor Doroszewski uważa jego zdolność adekwatnego oddania treści myślowej bez zniekształceń, skojarzeń ubocznych, w sposób, który pozwala nie dostrzegać samej formy powiadomienia. Jest to możliwe wówczas, gdy: 1) w wypowiedzi nie ma niedorzeczności, 2) jej „składniki są odpowiednio ze sobą zestrojone, włączone do jednej tonacji znaczeniowej“.

W określeniu tym zawarte są dwa kryteria szczegółowe: nazwijmy je umownie *logicznym* i *stylistycznym*. Dodajmy do nich jeszcze kryterium *tradycji* i spróbujmy ustalić zakres stosowania każdego z nich.

W skład indywidualnych metafor publicystycznych mogą wchodzić wyrazy doraźnie użyte jako przenośnie lub słowa o tradycyjnych znaczeniach przenośnych, w swoisty tylko sposób zestawione. Do oceny poprawności pierwszej grupy przenośni służy przede wszystkim kryterium logiczne, to znaczy odwołanie się do pozajęzykowej sprawdzalności metafory, do jej zgodności z realiami. Wykolejenia w tym typie przenośni polegają na ustaleniu fikcyjnych, sprzecznych z doświadczeniem lub niedostrzegalnych dla ogółu związków między zjawiskami, stanowiących podstawę przeniesienia nazwy.

Przytoczmy przykład „jednorazowej“, niepowtarzalnej przenośni, nie czyniącej zadość wymaganiom kryterium logicznego:

„Jeśli poszczególne skorupy zdań i sądów podrutujemy logicznymi wnioskami — to otrzymamy kolorowy garnek, w którym gotuje się życie młodzieży na wsi”. (Szt. Mł. 93/55, s. 2).

Pierwszej części tego zdania nie można zarzucić nonsensowności. Łączenie jakichś ułamkowych sądów, porównane do zespalandia drutem części rozbitego garnka — to metafora wprawdzie dość wyszukana, ale logicznie nienaganna. Nie możemy jednak zupełnie odtworzyć skojarzeń myślowych autora, towarzyszących pisaniu drugiej jej części. Dlaczego w owym sklejonym ze skorup garnku ma się *gotować* życie młodzieży? Niejasność sformułowań wynika tu chyba z jakiegoś „niedomyślenia“, sugerowania się indywidualnie ustalonymi, ale absolutnie niedostrzegalnymi dla odbiorców podobieństwami realiów.

Z kolei kilka słów o metaforach drugiego rodzaju — kojarzących w sobie składniki o tradycyjnych znaczeniach przenośnych. Wykolejenia w tym typie przenośni, polegające na przekroczeniu granic stosowalności ich składników lub na wysunięciu się na plan pierwszy ich ubocznych cech znaczeniowych wskutek niefortunných zestawień kontekstowych —

⁸ Witold Doroszewski: Kryteria poprawności językowej. Warszawa 1950, s. 43 i nast.

stwierdzamy za pośrednictwem analizy semantycznej, przez konfrontację z ich społecznie utrwalonym zakresem; stosujemy więc kryterium tradycji.

Nonsensowność takich metafor, a tym samym ich błędność z punktu widzenia kryterium logicznego, jest w pewnym stopniu wtórna, wynika z nieliczenia się z tradycyjnymi cechami znaczeniowymi wyrazów, zakłócającego bezpośrednio przekazania odbiorcy treści i powodującego jej opaczne zrozumienie.

A oto przykład z Dziennika Bałtyckiego:

„Mrok panujący w gdańskich zaułkach — to wspaniała pożywka dla chuli-ganów”.

i użycie analogiczne, choć może mniej rażące:

„Dziś na innej pożywce rośnie nasza historia, jest w tej pożywce pot codziennego trudu ludzi (...). (SŁ. L. 72/61, s. 6).

Autorzy obu przenośni mieli w pamięci jedynie znaczenie realne „pożywki“, tradycyjne w naukach przyrodniczych („podłoże rozwoju organizmów żywych“) i stanowiące podstawę dość już utartej przenośni (pożywka zbrodni, nienawiści itp.); zapomnieli natomiast o współistnieniu z nim zupełnie jeszcze wyrazistego znaczenia strukturalnego („to, co żywi“). Odświeżenie tych wtórnych w stosunku do znaczenia realnego cech semantycznych wywołuje efekt komiczny, czytelnika bowiem bawi nonsensowność żywienia się mrokiem i potem. Jak więc widzimy, analiza logiczna wykolejeń w zakresie metaforyki splata się z ich oceną z punktu widzenia tradycji językowej; oba kryteria są stosowane łącznie, różnica polega tylko na tym, które z nich ostatecznie rozstrzyga o błędności analizowanego przykładu. Wydaje się, że stykając się z doraźnymi użyciami przenośnymi, odbiorca najpierw odwołuje się do zwyczaju społecznego, stwierdziwszy zaś ich nietradycyjność, analizuje podstawę rzeczową przeniesienia nazwy i na tej zasadzie wyrokuje o błędności lub poprawności metafory; w przenośniach o składnikach „tradycyjnych“ odbiorca najpierw dostrzega dysonans logiczny, potem zaś szuka jego źródeł w analizie zakresu znaczeniowego ich elementów.

Ściśle są również związane ze sobą kryteria logiczne i stylistyczne. Przenośnie, które są wewnętrznie skłócone pod względem stylistycznym, „grzeszą“ zwykle również nonsensownością logiczną. Podajemy bardzo chyba wyrazisty przykład:

„Na wsi deskami zabitej tyra lekarz. Odczynia znachorskie gusła, ro-wiewa opary ciemnoty, sterylizuje zakrzepłe, obrosłe zgnilizną przesady. A z okopów Świętej Trójcy leca ku niemu pociski inwektyw, szrapnele insynuacji”. (GK 12/61, s. 1).

Metafora ta stanowi przedziwny zlepek kilku przerośni sprzecznych pod względem zabarwienia stylistycznego (nowoczesne, „terminologiczne“ przerośnie „sterylizować przesady“, „szrapnele insynuacji“ — i wyrażenie o rodowodzie literackim i charakterze nieco podniosłym: „okopy Świętej Trójcy“), a jednocześnie rażąco nielogicznych („sterylizować przesady“ to, według potocznego rozumienia tego terminu medycznego, raczej „doprowadzać przesady do czystego, nie skażonego stanu“ — niż „unicestwić“, zgodnie z intencją autora; bezsensowna wydaje się też czynność sterylizowania czegoś zgniłego; wspomnijmy jeszcze o błędzie rzeczowo-chronologicznym: o szrapnelach miotanych z okopów Świętej Trójcy)⁹.

Kryterium stylistyczne będzie więc wymagało dwojakiej harmonijności przerośni: wewnętrznej, polegającej na zestrojeniu wszystkich jej składników, i niejako „zewewnętrznej“ — dobrego jej wtopienia w kontekst, zgodności z jakąś konwencją stylistyczną itp.

Na zakończenie naszych uwag ogólnych wymieńmy jeszcze pospolite typy wykolejeń w zakresie przerośni publicystycznych: niefortunne, jednorazowe użycia przerośnie cechują zwykle zakłócenia w obrazowości (nieobrazowość albo przeciwnie — obrazowość zbyt intensywna, karykaturalna) lub niejasność podstawy przeniesienia nazwy; wykolejenia w zakresie metafor o składnikach tradycyjnie przerośnych dają w rezultacie połączenia wyrazowe zwracające uwagę czytelnika w kierunku ubocznych skojarzeń, a więc absurdalne; skłócenia stylistyczne — wewnętrzne i zewnętrzne — występują w obu grupach przykładów.

*

Źródłem niejasności metafory jest takie użycie jej składników, które zbyt gwałtownie zrywa więź z ich społecznie ustabilizowanym zakresem znaczeniowym, które nie może być potraktowane jako przesunięcie zależne od poprzednich stadiów ich ewolucji semantycznej. „Trybuna Ludu“ pisze o „żelaznym obliczu nowego pana (przedrewolucyjnej) Rosji — książeczki czekowej“ (39/56).

Metafora „żelazne oblicze książeczki czekowej“ jest niejasna, a więc niesugestywna; jej podstawy nie wyjaśnia ani odwołanie się do znaczeń realnych składników, ani próby jej związania z dotychczasową tradycją

⁹ Według informacji zawartych w The Columbia Encyclopedia (wyd. II, 1950, s. 1816) szrapnel został po raz pierwszy zastosowany w r. 1804, a więc zaledwie trzydzieści lat przed ukazaniem się w druku „Nieboskiej Komedii“ (1835). W bardzo nielicznych wzmiankach o broni palnej, zawartych w tekście, nazwa ta oczywiście ani razu nie jest wymieniona; jej użycie — ze względu na jej nowość — byłoby dysonansem na tle podniesłej stylizacji utworu.

użyć przenośnych wyrazów „oblicze“ i „żelazny“. Pierwszy z tych wyrazów w zastosowaniach metaforycznych łączy się ze słowami o treści abstrakcyjnej (prawdziwe oblicze np. kolonializmu, mieć zdecydowane oblicze polityczne, w obliczu przemian, decyzji itp.); jego skojarzenie z nazwą przedmiotu konkretnego nie mieści się w tej tradycji użycia, z traci więc charakter przenośny, razi dosłownością. „Żelazny“ występuje wprawdzie często w związkach przenośnych jako synonim „silnego, niezniszczalnego“ (żelazny organizm, żelazne zdrowie) albo „despotycznego, nieustępliwego“ (żelazna dyscyplina, trzymać żelazną ręką), z żadnego jednak z tych tradycyjnych odcieni znaczeniowych nie można wywieść wprost połączenia „żelazne oblicze“.

„Nikt nie zaprzeczy, że z takich praktyk i teoryjek wyrósł faszystowski kult siły. W perspektywie antyhumanitarnych tradycji posłużyły one jako *kadzidło dla masowych zbrodni*”. (Śl. P. 265/57, s. 6).

Pierwszą reakcją czytelnika jest przywołanie na pamięć tradycyjnego znaczenia przenośnego wyrazu „kadzidło“ („pochlebstwa“) i stwierdzenie, że twórca tej metafory bynajmniej do niego nie nawiązywał. Zawodzi również próba wyjaśnienia przenośni przez odwołanie się do znaczenia realnego: ujawnia się wtedy cała absurdalność sytuacji, w której dokonywano by masowych zbrodni w oparach kadzideł.

„Twierdzenie spikera, że honorową bramkę dla Polski zdobył Cieślík, wywołało tylko nowy *podmuch żalobnego politowania*” (...). (PS 147/57, s. 1).

Metaforyczne użycie wyrazu „podmuch“ nie ma żadnych tradycji (może przypominały się tu autorowi przenośnie: „tchnienie grozy“, „powiew śmierci“). Równie nietradycyjne i semantycznie nie uzasadnione jest połączenie „żalobne politowanie“.

Tu i ówdzie *zabłysło soczyste i smaczne aktorstwo* Stanisława Winczewskiego”. (EW 213/58, s. 7).

Pomińmy na razie fakt, że metaforze tej brak wewnętrznej harmonii (wyraz „zabłysnąć“ odwołuje się do postrzeżeń wzrokowych, określenia „soczyste“ i „smaczne“ — do odczuć smakowych), tą bowiem sprawą zajmujemy się w dalszym ciągu artykułu, zwróćmy natomiast uwagę na przenośny związek „soczyste i smaczne aktorstwo“. Wydaje się on nam dziwny i niejasny, ponieważ zakres użycia przenośnych „soczystego“ ogranicza się do frazeologizmu „soczyste przekleństwo“, wyraz zaś „smaczny“ bywa używany tylko w znaczeniu dosłownym. Zapewne autor posłużył się neologizmem semantycznym (proporcjonalnym do wyrazu

„niesmaczny“ w użyciu przenośnym: niesmaczny dowcip — smaczny dowcip), który jednak zbyt odbiega od tradycji społecznej i dlatego jest rażący.

„Błocko *smakowicie pluszcze* sobie pod nogami przechodniów, którzy zamieniają się w swoistą odmianę *możnych piekarzy* i miesić je muszą niby jakie ciasto”. (TM 5/57)

W przenośni tej razi bezpodstawne rozszerzenie zakresu znaczeniowego wyrazów „smakowicie“ i „możny“, ale także — i to przede wszystkim — odwołanie się do nierzeczywistych i nieprawdopodobnych wyobrażeń (możni piekarze mieszący nogami czarne ciasto).

Ten przykład należy więc jednocześnie do dziedziny przenośni przesadnie obrazowych, wywołujących wyraziste, ale karykaturalne wyobrażenia. Zajmijmy się więc z kolei wykolejeniami, których istotą są zakłócenia w stopniu obrazowości przenośni. Zaczniemy od grupy najbardziej skrajnej — metafor nieobrazowych, skomponowanych w sposób, który zaprzecza podstawowej funkcji metafory: plastycznemu przekazaniu treści. W składzie ich występują w nadmiernym skupieniu wyrazy o bardzo ogólnikowej treści znaczeniowej, zwykle nazwy pojęć abstrakcyjnych. Przytoczymy przykłady:

„Stworzenie nowego *ośrodka*, na którym można byłoby oprzeć nadawanie *racjonalnego kierunku* nowemu *prądowi* — jest konieczne”. (NRz 13/61, s. 5).

„Obniżyło to może wartość książki, ale dało (...) jej (...) *konstruktywny klimat*” (DzB 67/61, s. 4)

„Głównymi *kierunkami*, na których uchwała *koncentruje siły* nauki, są prace zmierzające do rozszerzenia bazy surowcowej”. (NRz 39/61, s. 2)

(...) Utwór winien opiewać *akcenty treści* którymi żyją i które wnoszą w życie kraju ludzie Śląska. (w 112/61, s. 8)

Przejdźmy z kolei do przykładów reprezentujących typ obrazowości jak gdyby niekonsekwentnej; w składzie takich metafor skojarzono słowa o treści konkretnej, „wizualnej“ i wyrazy wybitnie abstrakcyjne. Pierwsze z nich powodują powstanie cząstkowych wyobrażeń, które jednak nie znajdują harmonijnego dopełnienia, stają się bezsensowne po konfrontacji z pozbawioną jakichkolwiek elementów konkretności treścią abstraktów. A oto przykłady:

„Jakoś w kolegiach redakcyjnych za mało dotychczas *zasiadało zapotrzebowanie czytelnicze*, by zgłosić dodatkowe życzenia”. (Szt. L. 54/61, Kultura i Życie, s. 1)

„Pomiędzy tymi dwoma doświadczeniami *miota się* (...) podzielona na *dziesiątek warsztatów, teoria widzenia*”. (GP, Spojrzenia nr 157/1961)

„Właściwy każdemu człowiekowi pęd do światła, pragnienie kultury *wytryska z piskich lasów*”. (Gł. Olszt. 306/55)

„Wypadki te stanowią (...) ilustrację *nacisku* tysięcy rodziców na szkołę (...), *przyobleczonego w różne szatki*”. (Gł. Olszt., Archipelag, 60—61/61)

Gazeta Krakowska (32/61, s. 1) pisze o „*możliwościach nasycenia uwagi ucznia akcentami polityczno-światopoglądowymi*”.

To samo pismo snuje takie oto refleksje na temat sytuacji w Kongu:

„*Znak równania*, jaki można postawić między samozwańczym premierem Katangi i jego patronami, *sięga coraz dalej*, obejmując także (...) sekretarza generalnego ONZ”. (39/61, s. 2)

„Czyżby autor świadomie pozbawił Tersytesa wszelkich zalet — zastanawia się recenzent „Przeglądu Kulturalnego” — *by i rozum wraz z cnotą ująć w cudzysłów, jako ostatnią deskę ratunku dla garbusów?*” (50/60, s. 6)

I jeszcze jeden fragment recenzji teatralnej:

„Klasycznym przykładem reżyserskich *welonów otulających* całkiem niedwuznaczne treści jest kabaret „Mały Wóz”. (GK 60/61, s. 6)

Przykłady tego rodzaju można by nazwać przenośniami o pozornej, mylącej obrazowości. Na pierwszy rzut oka wydają się wyraziste i konkretne, ale wmyślenie się w ich treść pozwala dostrzec ich nierealność, a tym samym bezsensowność. I jeszcze dwa przykłady, wskazujące na to, w jak wielkim stopniu składniki o znaczeniach konkretnych mogą stwarzać pozory obrazowości i plastyczności takiej „falszywej“ metafory.

„Bodaj najistotniejszym zagadnieniem (...) jest zasięg oddziaływania dzieła sztuki. *Na drzewie tym powieszono wiele pretensji, wiele życzeń*”. (Szt. L. 36/61, Kultura i Życie, s. 1)

„*Małostkowe motywy, pociągając za sobą skutki ubarwione krwią, obrastać zaczynają w uwznioślające zastony*”. (PK 50/60, s. 6)

Po przenośniach o połowicznej, zakłóconej obrazowości kolej na przenośnie nadmiernie, wprost karykaturalnie obrazowe. Tym razem źródłem wykolejeń nie są sprzeczności treści znaczeniowej składników; elementy takich metafor mają znaczenia konkretne, doskonale przekazują pewien obraz; przyczyną ich nonsensowności jest natomiast właśnie sama konstrukcja obrazu, oparcie przenośni na nieprawdopodobnych, sprzecznych z doświadczeniem zestawieniach zjawisk. A oto kilka przykładów:

„*Z firmamentu, na którym rozkwita oblicze generała, padają (...) zaledwie niejasne przepowiednie, trudne do rozszyfrowania*”. (TR Magazyn niedzielny, 27-IV-1958, s. 2)

„Zabieg wymieniony jest jakby czynnością wstępną, (...) *uczesaniem przedmiotu* przed wykonaniem poetyckiej fotografii”. (Szt. L. 54/61 *Kultura i Życie*, s. 2)

„Na konferencji obiecano pomoc *budkom, więdnącym w handlowym wazonie*”. (ŻW 300/57, s. 6)

„Przez redakcję od lat *przetacza się wysoka fala ludzi*, błagających o pomoc”. (ŻW 33/59, s. 3)

„Wiejskim społecznikom trzeba *podać dłoń, dzierżącą złotówki przemienione w urzędnika* pomagające poznawać i rozumieć świat”. (Szt. L. 26-II/61, *Kultura i Życie* nr 8, s. 2)

Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie błędy w zakresie nietradycyjnych użyć przenośnych wyrazów, wchodzących w skład metafory, sprowadzają się do jednego źródła: nieumiejętności wskazania odbiorcom rzeczowej podstawy przeniesienia nazwy, wywołania w ich świadomości takich samych wyobrażeń, jakie towarzyszyły powstaniu przenośni. Niezrozumiałość lub nonsensowność metafory z punktu widzenia odbiorcy ma więc podstawy pozajęzykowe; przykłady tego typu kwalifikują się do oceny na podstawie kryterium logicznego.

Absurdalność przenośni może mieć jednak i podłoże językowe, wynikające z ignorowania wtórnych cech semantycznych wyrazu, które jednak w świadomości odbiorcy mogą się wysunąć na plan pierwszy wbrew zamierzeniom autorów. Dotyczy to metafor o składnikach tradycyjnie, a nawet tylko genetycznie przenośnych, obecnie używanych we wtórnych znaczeniach realnych. W wyniku błędu kompozycyjnego — użycia takich eksprzenośni w kontekstach odświeżających ich pierwotne znaczenie, odżywa nieoczekiwane cała ich zatarta już obrazowość:

„Rada Bezpieczeństwa zdobędzie się na *kroki, które odetną* tę organizację (...) od zbrodniczych machinacji obrońców kolonializmu”. (GK 41/61, s. 1)

„Moskiewska *platforma* (...) była także *kolejnym krokiem na drodze* do umocnienia jedności działania”. (PK 5/61, s. 2)

„Rząd Eyskensa podejmuje *drastyczne kroki w celu zdławienia fali* oburzenia”. (NRz 9/61, s. 2)

„Poloniści stracili głowę, nie znajdując *lekarstwa na pasmo* skutecznych zagrań rzeszowian”. (NRz-Stadion 13/61, s. 4)

Dbalność o kompozycyjno-logiczną poprawność metafory wymaga od jej twórców rzeczy jeszcze trudniejszej: liczenia się nawet z wyrazistością budowy wyrazu i unikania takich zestawień składników, które by mogły spowodować odżycie znaczenia strukturalnego jednego z nich. Cytowany już przykład przenośnego użycia „pożywki” należał właśnie do wykolejeń tego rodzaju. Tu przytoczymy jeszcze jedną metaforę:

„Sama zasada (...) *współdziałania* w dziedzinie kultury nie budzi sprzeciwów. Przynajmniej na co dzień. Bo *cd święta* zdarzają się *wypadki podgryzające tę zasadę*”. (GP 11—12/III/61. *Spojrzenia* nr 156, s. 1).

Nonsensowność połączenia „podgryzać zasadę“ (użytego zamiast utrwalonej w tradycji przenośni „podważać zasadę“) zostaje jeszcze spótgowana przez odzycie znaczenia strukturalnego „wypadu“, w innych użyciach niemal nie wyczuwanego.

Zatarcie znaczenia strukturalnego, a więc w tym wypadku — i pierwotnej przenośni — jest charakterystyczne dla potocznych, niegdyś obrazowych frazeologizmów. Nieliczenie się z możliwością odzycia podstawowego znaczenia ich składników wówczas, gdy zostają użyte jako elementy konstrukcyjne metafory indywidualnej, jest przyczyną powstania rażących absurdów.

„Przegląd Kulturalny“ (5/61, s. 4) w następujący sposób charakteryzuje koncepcję scenograficzną pewnego przedstawienia:

„Militarne barwy i coś jakby rozpruty brzuch. Aparat skojarzeniowy widza rusza z kopyta“.

„Ogólne urbanistyczne ujęcie części miasta będzie sporządzane, trzeba w to wskoczyć z domem kultury“. (Szt. L. 13/61 Kultura i Życie s. 1)

„56 budynków odzyskało „twarz“ w ramach likwidacji skutków szkód górniczych“. (W 80/61, s. 5)

Deleksykalizacja metafory, pociągająca za sobą jej absurdalność, może być następstwem nie tylko oddziaływania kontekstu, ale i eksperymentów formalnych, dokonywanych na jej składnikach: wyrywania ich z tradycyjnych związków frazeologicznych, narzucania im pewnej formy gramatycznej itp.

A oto przykład, zresztą niezbyt rażący:

„Każda ręka chętna do pomocy przy żniwach liczy się na wagę złota“. (Szt. Mł. 108/61, s. 2)

Metafora ta wydaje się nieco zbyt dosłowna, wywołuje nadmiernie wyraziste wyobrażenie jednej ręki, biorącej się do prac żniwnych. Natomiast takich przesadnie plastycznych wyobrażeń nie pociąga za sobą tradycyjna forma przenośni: „każda para rąk, chętnych do pomocy ...“.

Dobrym przykładem zlepku elementów kilku przenośnych związków jest następująca metafora:

„Utarł się już pewien typ zarzutów i właściwie można by recytować bez pudła: nieprzychylnie ucho dla tych spraw ze strony zakładów pracy (...), partykularna mentalność (...); tzw. szara rzeczywistość rzuca codziennie masę kamyków do obu ogródków“. (GP 11.12/61 Spojrzenia nr 156, s. 1) (trafić bez pudła, dać czemuś ucha, skłaniać ku czemuś ucho, rzucić kamień do czyjegós ogródka).

Nota bene niefortunna stylizacja tej przenośni sprawia, że za jeden z tych „ogródków“, do których „rzeczywistość rzuca kamienie“, czytelnik zmuszony jest uznać „ucho zakładów pracy“.

Nieobojętna jest też forma fleksyjna, w której zostają użyte składniki metafory. Zastosowanie ich w pewnych konstrukcjach składniowych zdolne jest je pozbawić cech przenośności. Zacytujemy jako przykład zdanie z recenzji filmowej, zamieszczonej w „Głosie Olsztyńskim“ (26—IV/61, Archipelag, s. 1):

„Za kulisami diabelskiego opętania krył się zew krwi, uosobiony w powabnej powierzchowności libertyńskiego księdza. On to swym urodziwym ciałem pchnął mniszki w grzech“.

I wreszcie najbardziej typowe podłoże powstania metafor, których absurdalność wynika z przyczyn językowych: skupienie w ich składzie kilku wyrazów o zblakłej przenośności, która jednak zostaje nieoczekiwanie odświeżona; przyczyną niepożądanego odżycia metaforyczności jest fakt, że przenośnie te są zaczernięte z zakresów zjawisk nie mających ze sobą nic wspólnego lub nawet sprzecznych. Przykłady tego typu można by cytować dziesiątkami; ograniczymy się do kilku charakterystycznych:

„W tyglu tych przemian krzepną nowe więzy społeczne, nawet tradycje, nawet nowe święta lokalne“. (GP 25—26-III/61, Spojrzenia nr 154, s. 1)

„O co tu chodzi — autor bliżej nie wyjaśnia. Nie chcąc wszelako, by [czytelnik] zblądził, wplata lekko zawołowaną, ale przecież łatwą do rozszyfrowania strzałkę kierunkową“. (PK 51/60, s. 1)

„O wiele wcześniej jednak uczyniono kobietę kozłem ofiarnym na marginesie literatury ojczyściej“. (GK 54/61, s. 5)

„Istnieje wiele przykładów „różnopolowej uprawy“ pisarskiej, na ogół jednak (...) różnorodnie wyakcentowanej zainteresowaniami autora“. (Szt. L. 36/61, Kultura i Życie, s. 2)

A więc nauczyciel powinien być (...) grającym pierwsze skrzypce twórcą więzi pomiędzy szkołą i domem“. (Gł. Olszt. 60—61/61, Archipelag)

„Dziennik Polski“ pisze o „pomysłach aktorskich, najczyściej rysujących nowy wykuwający się styl“. (18/61, s. 3),

„Gazeta Krakowska“ (39/61, s. 4) zaś zawiadamia nas o tym, że Lucjan Kydryński był

„doskonałą oprawą tej wiecznie jaśniejącej gwiazdy [Lucienne Boyer, przyp. DB]“ i że „odwiedziny śląskiego zespołu teatralnego cechowała (...) zwyczajna, nie oprawiona (...) w oficjalne dęcia trąb atmosfera“. (48/61, s. 5).

W ostatnio przytoczonym przykładzie wyraźne jest skłócenie składników, odwołujących się z jednej strony do postrzeżeń wzrokowych (oprawianie czegoś, oprawa), z drugiej — do doznań słuchowych (dźwięki trąb).

W metaforze: „Rzemiosło, kwalikowany majster czy wykwalifikowany robotnik — długo nie posiadały (sic! DB) lokaty startu życiowego“. (GK 39/61, s. 6) połączono dość bezsensownie wyraz-przenośnię z zakresu

terminologii ekonomicznej i termin sportowy. Absurdalność tej metafory wynika z faktu, że „start“ kojarzy się nam z nagłym, pośpiesznym ruchem, „lokata“ zaś — właśnie z nieruchomością.

Metafora: „Postać starego Hogana, *ustawiona na gwałtownych wybuchach*, nie bardzo Fuldemu *leżała*“ (Dz P 44/61, s. 6) wywołuje nie zamierzony efekt komiczny, mający swe źródło zarówno w stwierdzeniu absurdalności połączenia „ustawiony na wybuchach“, jak i w fakcie, że zgromadzone w jej składzie potoczne, niemal zupełnie zleksykalizowane frazeologizmy przenośne („ustawić np. w określony sposób rolę“ — „rola mi nie leży“) łączy przypadkowo pewien związek również w zakresie ich pierwotnych znaczeń realnych, uniemożliwiający ich łączne użycie (ustawiona — leżała).

I jeszcze jeden przykład rozbudowanej, „zlepkowej“ metafory:

„(...) Powstały [w państwach kapitalistycznych] olbrzymie *fabryki* urabiania poglądów, które *zapewniają sobie* możliwość wodzenia na pasku opinii publicznej i *sprzedawania osądów* i przesądów, opakowanych dla konsumentów w iluzje“ (GK 44/61, s. 4)

O zakłóceniu wewnętrznej harmonii metafory nie zawsze decyduje aż tak wielkie nagromadzenie składników o sprzecznych znaczeniach przenośnych. Czasem jej konsekwencją zdolny jest naruszyć jeden niebacznie użyty wyraz. Takim „intruzem“ jest słowo „wybielić“ w metaforze, przedstawiającej obrazowo machinacje kumotrów:

„Niech się tylko jednemu *nóżka* powinie, a zaraz cały tabun krewniaków *zbiegnie* się, aby *wybielić* ochwaconego“ (Gł. Olszt. 286/55); wyraz ten został użyty jako neutralny odpowiednik słów „usprawiedliwić, zrehabilitować“, ale wobec przejrzystości swojej struktury wywołuje wtórne, zbyt „dosłowne“ skojarzenia.

Zbierzmy teraz w kilku słowach wnioski, które nam nasuwa analiza nieudanych metafor, opartych na składnikach o znaczeniach tradycyjnie przenośnych. Błędy w ich zakresie wynikają z przyczyn językowych, z sugerowania się tylko dominującymi cechami znaczeniowymi składników, lekceważenia natomiast ubocznych czynników decydujących o ich możliwościach semantycznych: wyrazistości struktury, pokrewieństwa etymologicznego, powiązań frazeologicznych, nawet formy gramatycznej i wreszcie — rzecz najważniejsza — z ignorowania faktu istnienia różnych stopni ich żywości, obrazowości — i związanej z tym groźby odświeżenia znaczeń realnych niektórych z nich.

Do tego typu metafor odnosi się — jako ogólna wskazówka poprawnościowa — sformułowanie profesora Doroszewskiego:

„Sztuka łączenia wyrazów ze sobą polega na umiejętnym dozowaniu metaforyczności każdego z nich w kombinacjach z innymi wyrazami“¹⁰.

¹⁰ Kryteria poprawności językowej, s. 44.

Składniki skłóconych metafor nie zawsze różnią się treścią wyobrażeniową; często w grę wchodzi różnica ich zabarwień stylowych lub przynależność do różnych warstw słownictwa. Mamy wtedy do czynienia z wykolejeniami z punktu widzenia kryterium stylistycznego. Rozchwiania tego rodzaju są na pewno mniej rażące i trudniej uchwytnie; często uznanie ich za błędy może uchodzić za dyskusyjne i zależeć od indywidualnej wrażliwości oceniającego.

Przytoczmy kilka przykładów; zacznijmy od skłócenia składników potocznych i elementów stylu naukowego, które jest przyczyną wewnętrznego dysonansu następującej przenośni:

„Przede wszystkim przewaga postawy technicystycznej (...) na tyle wyraźna, by w aspekcie „mowy-trawy” postawić wędrówki w stronę psychologii”. (Szt. L. 54/61, Kultura i Życie, s. 1).

Często można się także spotkać z rozbieżnością barw chronologicznych składników metafory. Czytamy np.:

„W ten sposób *montowany* jest szeroki zastęp ludzi (...) (NRz 42/61, s. 2)

Nowoczesna, „technicystyczna” przenośnia „montować” (nienaganna np. w synonimicznym związku „montować kolektyw”) razi w zestawieniu z podniosłym, nieco przestarzałym „zastępem”. Podobne podłoże ma stylistyczna niezręczność innej metafory:

„Lakieruje się zbrodniarzy wojennych na *rycerzy bez skazy*, na jakichś antycznych *herosów*”. (EW 1—IV/55, s. 2)

I jeszcze jeden przykład: fragment recenzji ze zbioru poezji:

„[Autor] przeszczepia więc „sposób” (nowoczesny) na „środki” (tradycyjne) sądząc, że *tym pogodzeniem wilka z jagnięciem osiągnie arkadyjski klimat* poezji. Skutek nieobliczalny. *Jagnię dostaje ostrej sierści i ogląda się, któredy czmychnąć do lasu*. I choć trafiają się tu (...) wyrażenia celne (...), to jednak całość zamierzenia *zapisuje się po stronie deficytowej*”. (Szt. L. 54/61, Kultura i Życie, s. 2)

Obrazowa przenośnia potoczna „pogodzić wilka z jagnięciem” nie bardzo harmonizuje z terminologiczno-urzędowym „zapisywać po stronie deficytowej”.

Mniejsza dostrzegalność i oczywistość wykolejeń stylistycznych może wywoływać wątpliwości co do tego, czy ich piętnowanie nie jest przejawem przesadnego puryzmu i domagania się od piszących zbyt subtelnej, wręcz „leksykologicznej” analizy stylistycznej wartości wyrazów. Istotnie, następstwa użycia przenośni wewnątrznie nie zharmonizowanej pod względem stylistycznym są znacznie mniej groźne w stosunku do szkodliwości społecznej (nie wahajmy się użyć tego określenia) metafor absurdalnych. Wykolejenia stylistyczne w zakresie przenośni zwykle nie powodują zniekształcenia sensu, powstawania nieporozumień. Trzeba

jednak pamiętać o tym, że wewnętrzny rozdźwięk w metaforze niepożebnie zwraca uwagę odbiorców na jej formę i zakłóca w ten sposób bezpośredniość odbioru zawartego w niej sensu, a tym samym stawia pod znakiem zapytania celowość jej użycia. Tymczasem właśnie ocena metafory z punktu widzenia jej przydatności jako środka przekazania określonych treści jest — jak już wspomniano — podstawą kryterium stylistycznego.

Współzależność między rodzajem tekstu dziennikarskiego, jego tematyką — i charakterem zastosowanych w nim przenośni, to zagadnienie bardzo trudne, wymagające odrębnego, szczegółowego opracowania, które by się musiało opierać na ogólnej charakterystyce środków wyrazu stylu publicystycznego. Takiej monografii doczekamy się zapewne nieprędko. Tu więc trzeba poprzestać na kilku uwagach, nawiązujących do ogólnego omówienia typowych cech przenośni prasowej, zawartego we wstępie. Na pewno sprzeczne z konwencją, panującą w zakresie metaforyki publicystycznej i dlatego rażące pod względem stylistycznym jest posługiwanie się przenośniami „koturnowymi“, przesadnie podniosłymi, o obrazowości nadmiernie plastycznej, odwołującej się nie do dziedzin związanych z działalnością ludzką, lecz do zjawisk przyrodniczych. Przytoczmy kilka przykładów, ilustrujących nasze stwierdzenia:

„Wiosenne roztopy obnażyły wszystkie zadrapania na pozbawionym przystroju zieleni ciele wioski”. (G. Chł. 2—III/58, s. 4)

„Ciemne odmęty reakcji zabagniły atmosferę” (TOP 310/56) (pomińmy już nonsens logiczny — „zabagnienie atmosfery”).

„Kamieniem żarnowym obracała się męka znajomej chłopki w moim sercu”. (ZL 41/55).

„Na tych kamieniach węgielnych oparte — zaczęło rodzić się nowe życie opatowskiego chłopca”. (TL 202/55).

Zależność użycia obrazowych środków stylistycznych od tematyki i niecelowość, wręcz karykaturalność metaforycznego przekazania pewnych treści można ilustrować wieloma przykładami. O bardzo codziennym fakcie wiosennych porządków na podwórku „Dziennik Bałtycki” (67/61, s. 5) donosi w takiej oto wyszukanej formie:

„Ja postanowiłam dołożyć ręki do posiadanej łopaty i uprzątnąć podwórkowy gruz (...). Tak więc w (...) wiosennej bluzce, z łopatą w ręku, zaakcentuję wiosnę i wejdem w nią”.

A oto przykłady jaskrawsze:

„A więc wtłaczany w schematy żar rewolucyjnych dążeń ludzi „ciągnących w postęp” nie dał się stłamsić i rozpałił się na nowo (...). A więc udożyła sztucznie młodość upomniała się o swoje prawa i wybuchła fajerwerkami na licznych zebraniach. (...) Zwaliała się zaporą i rzeka dyskusji runęła z impetem po-

wodzi". (Dz P 264/56, s. 3); „Szesnaście lat niezmiernych wysiłków całego narodu (...) — przemieniło się w plony, których obraz, jak w niezniszczalnym symbolu, rysują sylwety nowych fabryk i szkół (...)” (E. Il. 88/61, s. 1).

Taka wybujałość i bombastyczność metaforyki, wprowadzenie elementu niepotrzebnego patosu — robią wrażenie czegoś obcego i sztucznego w stylu, którego programową tendencją jest zwięzłość, a nawet skrótowość i nasycenie treścią. Odnosi się wrażenie, że autorzy ulegają wpływowi nie najlepszych wzorów ubiegłowiecznej retoryki lub usiłują spiętrzeniem obrazowych środków stylistycznych, przykuwających uwagę czytelnika, zamaskować ubóstwo treści, brak własnych przemyśleń.

Zdawałoby się, że użycie metafor typowych właśnie dla stylu publicystycznego, w pewien sposób już utartych, skutecznie ochroni przed niebezpieczeństwem naruszenia harmonii środków wyrazu i zawartej w nich treści. Przekonanie to jednak jest zawodne; nadużycie „modnej” metaforyki prowadzi do szablonu, przejawiającego się nie tylko w nieustannym powtarzaniu tych samych środków stylistycznych, ale także — co ważniejsze — w ich inercyjnym, bezmyślnym użyciu, niezależnym od wymagań tematyki i charakteru tekstu¹¹. Spróbujemy to zjawisko zilustrować grupą przykładów.

Jedną z bardzo istotnych cech metaforyki publicystycznej jest bogactwo przerośniętych z zakresu terminologii wojskowej¹², bardzo wyrazistych i szczególnie przydatnych jako środki stylistyczne apeli, haseł, artykułów wstępnych i innych form dziennikarskich, służących celom bezpośredniej agitacji. Jednocześnie jednak skłonność do używania tych celnych i ekspresywnych przerośniętych przeradza się niekiedy w przykrą manierę, w bezmyślne szafowanie „ofensywami”, „sztabami”, „atakami”, „kampaniami”, doprowadzające ostatecznie do ich dewaluacji i ztratności emocjonalnego oddziaływania.

W niektórych tekstach publicystycznych nawet kolportaż książek zostaje porównany do ataku:

„Innych form (...) wymaga propagowanie książki technicznej. Tam — *działanie uderzeniowe* i zmasowane, bo trudno być imprezowym domokrążcą od gospodarstwa do gospodarstwa, tu — bardziej częstotliwy i odcinkowy atak”. (Szt. L. 30/61 Kultura i Życie, s. 1),

a nieśmiało postulaty klientów, zgłaszane pod adresem handlu — do obstrzału lub ofensywy.

¹¹ Doskonale przykłady bezsensownego operowania „modną” metaforyką przytacza Maria Kniaginiowa w artykule „Niedostatki stylu dziennikarskiego”. Zeszyty Prasoznawcze nr 5—6/1960, s. 107—109.

¹² To zagadnienie zostało omówione obszerniej w artykule Danuty But'ler i Haliny Satkiewicz „Uwagi o frazeologii prasowej”, Kwartalnik Prasoznawczy 1957, s. 32.

„Handel jak i przemysł dotychczas są pod stałym ostrzałem klienta”. (NRz. 180/58, s. 5); „Ostatnio na półkach sklepowych trzeba wciąż robić miejsce na nowe artykuły (...): to, co obserwujemy, jest wynikiem odpowiedzi na zeszłoroczną ofensywę żądań”. (W 78/61, s. 3);

„Dziennik Bałtycki” (61/61 s. 3) stwierdza, że nauczyciele śpiewu, którzy odeszli do innych zawodów „ostatnio powrócili na front nauczania śpiewu”. „Kurier Lubelski” (123/61, s. 4) pisze o przygotowywanym przez Komitet Geofizyczny ZSRR „natarciu na dolne warstwy skorupy ziemskiej”, a „Sztandar Ludu” (18/61, Kultura i Życie, s. 1) raczy czytelników takimi oto obrazowymi paralelami:

„Mimo wszystko zawsze ten smaczek egzotyizmu przy zetknięciu z powiatem. (...) W Warszawie dyrektorzy departamentów obmyślają i planują, a tu wielony papier zyskuje trzeci wymiar ludzkiej indywidualności. Jakby z kancelarii sztabowej, gdzie mapa i chorągiewki na szpilkach, znaleźć się nagle na odcinku frontu, gdzie jest także rozwożenie zupy”.

Nawyk operowania metaforą „wojskową” skłania piszących do całkowicie mechanicznego, nie przemyślanego jej użycia w kontekstach zupełnie z nią nie zharmonizowanych, co w konsekwencji powoduje powstanie jaskrawych niekiedy błędów logicznych.

Czytamy np., że „jeden z (...) okrętów był siedzibą generalnej ofensywy na morską naftę” (N Rz 12/61, s. 6), że „natarcie na mechanizację (...) nie potoczy się po gładkiej drodze” (NRz 47/61, s. 4), że „w trakcie przygotowań wyrósł wielki, ofiarny sztab inżynierów” (Dz P 3/61, s. 8) i że „armia dwójkowiczów jest deficytowym interesem”. (DzL 107/61, s. 2).

I wreszcie kwestia trudna i subtelna: zgodnie z kryterium stylistycznym należałoby się domagać od piszących „dobrego smaku” stylistycznego, unikania przenośni skomponowanych ze składników o zbyt intensywnym zabarwieniu: wulgaryzmów, wyrazów żargonowych itp. Pod adresem tego postulatu można by wprawdzie wysunąć pewne zastrzeżenia: unikanie w doborze składników metafory elementów potocznych, a nawet dosadnych może ją pozbawić wyrazistości i świeżości, uczynić bezbarwną i szablonową. Z drugiej strony wyrokowanie o poprawności przenośni tego typu może się przekształcić w swoiste „przystrzyganie” języka autora zgodnie z subiektywnymi upodobaniami stylistycznymi oceniającego. Samo kryterium „dobrego smaku” jest mało sprecyzowane, niekonkretne. Wydaje się jednak, że nie należy z niego rezygnować i w teoretycznej ocenie poprawności przenośni, i przede wszystkim — w praktyce redaktorskiej. Można bowiem odróżnić stylistycznie uzasadnione użycie wyrazów nawet bardzo dosadnych — i lubowanie się wulgaryzmami, zamiłowanie do trywialności sformułowań. Wydaje się np., że nawet „święte oburzenie” nie powinno dyktować publiczności takiej oto przenośni:

„Hieny te i szczury (mowa o reakcjonistach, DB) żerują na śmietniskach starych, zużytych poglądów, na cmentarzyskach racjonalistycznych trupów”. (GR 28—VI/56)

Razi nas, gdy w recenzji teatralnej znajdujemy zdanie: „(Sztuka) na każdym kroku *rozwiera kuszące bebechami topiele*” (EK 79/61, s. 3), z niesmakiem czytamy pseudodowcipny felieton pod wymownym tytułem „Felieton to nie ... *lewatywa*” (Gł. Olszt. 21.VIII.1958), operujący bardzo „wyszukanymi” przenośniami:

„Na takiego czytelnika felieton działa jak ... lewatywa. O ile przedtem był zatwardziały i dostatecznie powolny, o tyle po „zażyciu” felietonu biega, jakby go ruszyła woda śp. cesarza Franciszka Józefa. Niewiele myśląc, taki „przeczyszczony” siada za biurkiem i koncypuje kontrfelieton (...) A chociaż w bojach nigdy udziału nie brał, to jest on jednak ponad miarę zahartowany w paradach i chluśnięcie wiadrem ścieków nie wymaga od niego wysiłku. (...) Temperament „obrażonego” majestatu dmie jak wichur i rozwała reputację przeciwników” (...).

Metafora wulgarna bywa obosieczna. Zamiast kierować się swym ostrzem przeciw faktom i osobom, które chce zdyskwalifikować autor, zwraca się przeciw niemu samemu, ujawniając brak kultury polemicznej i prymitywizm reakcji uczuciowych swego twórcy. Jest wątpliwe, czy autor metafory, którą za chwilę przytoczymy, wzbudził w czytelnikach żywiołową nienawiść do imperializmu; pewne jest natomiast, że podważył ich zaufanie do swego piarstwa:

„Tymczasem od drapania swędzących i piekących miejsc Arabowie przeszli do bardziej aktywnego iskania. Jeden za drugim spadają z ciała narodów Bliskiego Wschodu pasożyty żerujące od lat na ich krwi. Tłusta sztuka — Glubb Pasza — została wyczesana gęstym grzebieniem i usunięta wraz z pomniejszymi robaczkami” („Świat” 11/55, s. 22).

*

W artykule poruszono tylko kilka spraw z zakresu kompozycji połączeń wyrazowych mających charakter żywych przenośni o funkcji ekspresywnej; ta problematyka więc, ciekawa i dość ważna z praktycznego punktu widzenia, nie została bynajmniej wyczerpana. Niektóre wykojeżenia, typowe dla metaforyki prasowej, nie zostały tu omówione; innym zapewne poświęcono zbyt wiele uwagi. Szczegółowość analizy typów wykojeżeń i poszczególnych przykładów być może spotka się z zarzutem przesadnego „atomizowania” tematu; jej podłożem jednak była chęć ukazania wielości czynników, które ograniczają swobodę indywidualnej twórczości językowej w zakresie metaforyki i determinują jej charakter. Chodziło także o zwrócenie uwagi na to, że nawet w zakresie tworów tak jednostkowych i niepowtarzalnych, jak indywidualne przenośnie, działa

swoista norma, którą wyznacza z jednej strony postulat zgodności z realiami, sprawdzalności rzeczowej podstawy przeniesienia nazw — z drugiej zaś konieczność liczenia się z tradycją językowo-stylistyczną (respektowania ustalonego zakresu znaczeniowego składników i ich społecznego wartościowania — barwy środowiskowej, stylowej, chronologicznej itp.). Fakt ten umożliwia ocenę normatywną przenośni, która naturalnie musi być daleka od mechanicznego kwalifikowania pewnych przykładów jako błędów i ze względu na ogólność kryteriów — często dyskusyjna. Wydaje się jednak, że warto ją podjąć wobec tego, że wykolejone przenośnie są tylko konkretnymi przejawami ogólniejszych „schorzeń”: upajania się dźwiękiem wyszukanych skojarzeń słownych, maskowania ubóstwa treści wybujałością formy, ulegania złym tradycjom i szablonom stylistycznym, skwapliwego a bezkrytycznego przyswajania sobie modnych połączeń wyrazowych, a wreszcie — pospolitej bezmyślności, mechanicznego zlepiania wyrazów, któremu nie towarzyszy nawet moment zastanowienia się nad ich treścią i wartością stylistyczną. A przecież „właśnie chodzi o to, żeby nie ciągnął się za wyrazem wyraz, ale żeby wyraz był świadomie używanym narzędziem nieustannie pracującej myśli, zdolnej do przeciwstawienia się inercyjnym skojarzeniom, tworzącym mglistą sieć dokoła świadomości ludzkiej“¹³.

WYKAZ SKRÓTÓW

DzB	— Dziennik Bałtycki	PS	— Przegląd Sportowy
DzL	— Dziennik Ludowy	Śl. L.	— Słowo Ludu
DzP	— Dziennik Polski	Śl. P.	— Słowo Powszechne
EK	— Echo Krakowa	Szt. L.	— Standard Ludu
EW	— Express Wieczorny	Szt. Mł.	— Standard Młodych
GChł.	— Gazeta Chłopska	W	— Wieczór
GK	— Gazeta Krakowska	TL	— Trybuna Ludu
Gł. Olszt.	— Głos Olsztyński	TM	— Trybuna Mazowiecka
GP	— Gazeta Polska	TOp.	— Trybuna Opolska
GR	— Gazeta Robotnicza	TR	— Trybuna Robotnicza
NRz	— Nowiny Rzeszowskie	ŻL	— Życie Literackie
PK	— Przegląd Kulturalny	ŻW	— Życie Warszawy

Danuta Buttler

¹³ Witold Doroszewski: *Struktura języka a geografia lingwistyczna*. *Poradnik Językowy* 7/61, s. 289.

UKRAINIZMY GRAMATYCZNE WE WSPÓŁCZESNYM JĘZYKU POLSKIM

(Dokończenie)

2. Sporne ukRAINIZMY gramatyczne

Zanik ó. Wg T. Lehra-Spławińskiego („Język pol.“, 1947, w wyd. 1951, s. 297—8) ó „nieznane“ było „zupełnie w fonetyce ruskiej (zarówno małopolskiej (...) jak i białoruskiej (...)) i przez to obce wymowie spolszczonej szlachty ruskiego pochodzenia, która, przyjmując system głosowy polski, musiała zastępować je przez najbliższe (...) co do brzmienia (...) u“. (Ale i w gwarach ukr. możliwe jest ó, np. *hólów'a, kór'owa* itd., tj. tzw. ukanie nie pod akcentem, rozpowszechnione w Galicji, na Wołyniu, Podolu, albo np. *wón, pós'ow* itd., tj. stadium rozwoju ikawizmu, np. na Podlasiu; niewiadomo jednak, czy ó istniało w języku ukr. w XVI—XVIII w., kiedy prawdopodobnie ó przechodziło w języku ogólnopolskim w u). Z. Stieber („Rozwój fonolog. jęz. pol.“, 1952, w wyd. 1958, s. 43) przyjmuje też wpływ ukr., ale jako dodatkowy: „należy sądzić, że działały tu: 1) wymowa gwar Polski centralnej wraz z okolicą Warszawy od końca XVI w., 2) wymowa Polaków z „kresów“ południowo-wschodnich pod wpływem wymowy staroukraińskiej“. Polegać by to miało na tym, że „pod wpływem ukraińskiej wymowy *ruh, vuz, muj* [etap ikawizmu ukr. rozpowszechniony w XVI—XVII w.], zaczęli, być może, Polacy kresowi oddawać obce im polskie ó przez u“. Z. Stieber podaje przy tym przykład Gabriela Świrskiego, „Czerwonorusina“ z 2. poł. XVI w., który pisał nie tylko *gur, spulnoczi, pospulstwa* itp., *zgory — mury* itp. w rymach (gdzie $u < \acute{o}$ może się tłumaczyć i pozycją przed *r, ł, l*), ale i w *Duynicy* ‘w dojnicy (donicy)’ ze wzdłużeniem zastępczym i ścieśnieniem typu ukr., nie pol. Przypuszczenie Z. Stieberta jest o tyle bardziej przekonujące, że mówiąc wprawdzie też o „obcości“ ó dla Ukraińców, wskazuje mimochodem i chyba mimo woli na możliwość wpływu całych postaci wyrazowych ukr. a nie tylko fonetyki ukr. Jeżeli wpływ taki był, wymagałby jednak większego udokumentowania.

Zanik eł ≤ ił, ył. K. Nitsch, „Z historii pol. rymów“, 1912, napisał: „nasuwa się pytanie, czy tak zupełne wyrugowanie (...) [rozszerzenia $eł \leq ił, ył$, widocznego w rymach XVII w.] z języka literackiego nie nastąpiło w 2. połowie XVIII w. pod wpływem prowincji ruskich, który (...) tak silnie oddział na inne typy polskiego rymu“ (jak rymy typu *gorzało — chwałą, kończyć — rozłączyć* itd.). Z. Stieber, „Rozwój fonolog. jęz. pol.“, 1952, w wyd. 1958, s. 36, tłumaczy to wyrugowanie w zasadzie na gruncie rodzimym: była to grupa $eł$, w której „é, podobnie jak é w in-

nym pozycjach, złało się potem w wymowie warstw wykształconych z fonemem *i* [to zlanie się *é* z *i* datuje autor na XVII—XVIII w.]; przywróciło to wymowę *miły, był* (...). (Skoro tak, to dlaczego język literacki poszedł tak odwrotnymi drogami w wypadku *é* i wszelkiego innego *é*?). Jednocześnie wszakże Z. Stieber przyjmuje jako dodatkowy czynnik przypuszczenie K. Nitscha: „Do wyparcia typu *miły* z języka warstw kulturalnych mogła się też przyczynić wymowa Polaków «kresowych», bo leżąca u jej podłoża wymowa ukraińska i białoruska zmiany *i* < *e* przed płynnymi nie znała“. Można by to sobie wyobrażać zwłaszcza jako morfologiczny wpływ masowo występujących ukr. i brus. końcówek czasownikowych *-yw, -yu, -iu* itd. Przypuszczenie K. Nitscha podjął także, i to bez szukania innych wyjaśnień, W. Kuraszkiwicz, zob. praca zbiorowa „Z dziejów powstawania języków narodowych i literackich“, 1956, 95, powtarzając niemal stylizację Z. Stieberta: „wymowa Polaków kresowych (...) mogła się przyczynić do wyparcia z języka literackiego typu *miły, był* (...).“ Możliwe to, ale nie dowiedzione. P. Zwoliński, na wykładach tłumaczył zanik rozszerzenia *i, y* przed *ł* wyłącznie na gruncie rodzimym: odkąd zanikło zębowe *ł* w XVII w., ustąpiła fonetyczna przyczyna tego rozszerzenia. Ale dlaczego nie utrzymały się dotychczasowe wyniki tego rozszerzania, bodajby w kilku zleksykalizowanych wyrazach? Zresztą ogólnopol. zanik *ł* nastąpił znacznie później, za pamięci dzisiejszych starszych ludzi (zob. P. Zwoliński, BPTJ, 1949, 81—96).

Brak mazurzenia. Wg J. Rozwadowskiego i K. Nitscha (zbiorowa „Gramatyka języka polskiego“, 1923) na brak mazurzenia w polskim języku literackim wpłynął też pośrednio język ukraiński i białoruski: „Wielka odporność języka kulturalnego na tzw. mazurzenie mimo ogromnego obszaru, na którym język ludowy ma tę właściwość, objaśnia się chyba nie tylko genezą literackiego języka, ale także silnym wpływem przyzwyczajęń fonetycznych działających od wschodu: wpływ i napływ szlachty z ruskich dzielnic zaostrił przeciwieństwo między «chłopskim» a «pańskim» językiem“ (J. Rozwadowski, „Historyczna fonetyka, czyli głosownia języka polskiego“, 2. wyd., tamże, 203); „Prawdopodobnie też oddziaływanie to [mowy Polaków z Kresów], niemal tak stare jak początki piśmiennictwa, dopomogło językowi kulturalnemu do utrzymania jego *sz, ż, cz, dź*“ (K. Nitsch, „Dialekty języka polskiego“, 2. wyd., tamże, 515). Podobnie wypowiedział się T. Lehr-Splawiński („Wzajemne wpływy polsko-ruskie w dziedzinie językowej“, 1928, 12): „(...) Można przypuszczać, że w ścieraniu się wymowy mazurzącej i nie mazurzącej wpływ polszczyzny kresowej przeważał ostatecznie szalę zwycięstwa na korzyść odróżniania *cz ż sz* od *c z s*“. Możliwe, ale nie dowiedzione.

Nasuwa się jednak pytanie: skąd się u Polaków kresowych wzięła nie mazurząca wymowa — czy przynieśli ją tam wtedy, gdy jej nie było jeszcze w Polsce, czy wynika ona z substratu ruskiego? To ostatnie (przyjmowane przez K. Nitscha, „Rozpr. Wydz. Filol. AU“, XLVI, 1910, 345, i „Dialekty jęz. pol. „Enc. pol.“ AU, t. III, dz. III, cz. II, 1915, 320) jest mało prawdopodobne, bo nauczanie się mazurzącej wymowy nie przedstawiało żadnej trudności dla polszczyzących się Ukraińców i Białorusinów. A zatem w poł. XIV w., kiedy Polacy, rzecz prosta, głównie z Małopolski, zaczęli kolonizować Ruś Czerwoną, mazurzenia, przynajmniej w Małopolsce jeszcze nie było (albo raczej dopiero się tam zaczynało, zob. niżej). (Por. podobny pogląd W. Taszyckiego, „Dawność tzw. mazurzenia w jęz. pol.“, 1948, 25). To jeszcze jeden argument na korzyść zwolenników małopolskiej ojczyzny pol. języka literackiego, przeciw teorii wielkopolskiej (będącej zresztą nonsensem historycznym, bo zakładającej rzecz niebywałą: powstanie języka kulturalnego, narodowego na co najmniej trzy wieki przed powstaniem języka literackiego). Należy zaznaczyć, że brak mazurzenia u kresowych Polaków cechuje też chłopów, a więc nie było tu różnicy między mówiącymi „lepiej“ szlachtą i — „gorzej“ — chłopstwem. W związku z chronologią mazurzenia na datę podboju Rusi Czerwonej powołuje się też Z. Stieber, „Rozwój fonolog. języka pol.“, 1958, 65, ale by dojść do przeciwnego wniosku: że mazurzenie było już *przed* tym podbojem: „(...) Uderza zgodność między południowo-wschodnią granicą mazurzenia a granicą dzielącą pierwotną Małopolskę od Rusi Czerwonej i ziemi bełzkiej. Granica ta, bardzo ważna do czasów Kazimierza Wielkiego, ogromnie straciła na znaczeniu po przyłączeniu Rusi Czerwonej i województwa bełzkiego do Polski“. Ależ przecie była to granica między odrębnymi językami — ukr. i pol., a nie między pol. dialektami, nie można więc z daty jej obalenia jako zapory międzypaństwowej wysnuwać wniosku, że przed tą datą na zachód od niej były pol. gwary mazurzące a na wschód od niej — nie mazurzące.

Powiedzieliśmy wyżej, że mazurzenie w Małopolsce w poł. XIV w. (data podboju zach. Ukrainy) może się dopiero zaczynało. Znamy bowiem dwa wczesne wypadki zaświadczenia pol. mazurzenia w zabytkach ukr. (są to w ogóle pierwsze zaświadczenia tego zjawiska): *cebrow* (2 ×) w *hramocie* Mściława Daniłowicza wołyńskiego z 1289 (cyt. przez F. Sławskiego, SAU, 1951, 410—3) i *ćudnosti* w *czernonoruskim* przekładzie statutów Kazimierza III, 1423—34 (ostatni wypadek w nauce dotąd nie odnotowany). Uderza w nich to, że są to właśnie te pol. wyrazy, które dostały się do pol. języka literackiego w postaci mazurzącej. Natomiast w 107 innych polonizmach w/w przekładzie statutów *č*, *š*, *ž* jest zachowane. Czyż nie przemawia to za tym, że mazurzenie jest w *č* najwcześniejsze, że w Małopolsce

zaczęło się w dobie tworzenia się tam polskiego języka literackiego (od w. XIV — wieku pierwszych tekstów pol. — od początków humanizmu na przełomie XV i XVI w.), ale w pełni rozwinęło się dopiero w końcu tego okresu, kiedy język literacki był już ukształtowany, i dlatego zdążyły do niego wejść tylko 22 podstawowe wyrazy mazurzące, prawie wyłącznie właśnie z *c*, jako najstarszym: *cacko*, *całun*, *cąber*, *cetno*, *cud*, *cyranka*, *kucnąć*, *przycupnąć*, *ceber*, *cuchnąć*, *cybuch*, *kiecka* (z węg. *kecse*, czyt. *keče*), *cwaniak*, *Cesia*, *pęcak*, *cochać się* (2 ostatnie jako oboczne do postaci z *č*), także *dzban* gdzie *dz* sprowadzać się może do tegoż *c* (**cban* < *čbbanъ*, por. *czban* w Biblii z 1455 r., J. Otrębski, „Życie wyrazów w jęz. pol.“, 1948); poza tym: *sędziwy*, *sus* (z niem. *Schuss*), *urwis*, *zarzewie* i *zgliszcza*?

Już A. Brückner (ZslPh, I, 1925, 264—7) sądził na podstawie analogii do cokania półnros. i dolnołuż., że mazurzenie zaczęło się od *č*, co przyjął i W. Taszycki (tamże, 23—4), powołując się na „Orthographia“ Sieradzanina S. Zaborowskiego (1513, 2. wyd. 1518), który z podanych przez siebie przykładów tylko *Cąstochowa* i *Caślaw* wymawiał mazurząco oraz na spostrzeżenia K. Nitscha i I. Steina o częstym mazurzeniu w **č* obok jego braku w **š*, *ž* na pograniczu małopolsko-ukr. („Materiały i Prace Kom. Język.“ AU, VII, 1920, 183—234). Dodajmy, że również na pld. Kujawach, graniczących z Mazowszem, mazurzenie ogranicza się do *c* < *č* (Z. Sobierajski, „Gwary kujawskie“, 1952, III, 42). Dowodem na najwcześniejsze mazurzenie w **č* (W. Taszycki, tamże, 21—2, waha się go przyjąć, gdyż przeczy on jego zbyt skrajnemu stanowisku, że Małopolska w poł. XV w. mazurzenia jeszcze „nie znała“) jest też *cyż* (*cisz*) i *cudny* (*cuudni*) w ortografii Małopolanina J. Parkoszowica (1440). Nawet jeszcze w 1568 r. P. Stojęński w „Polonicae grammatices institutio“ potępia tylko murzenie **š* i *ž* (nie tylko u Mazurów — jak sądzi W. Taszycki w tejże pracy — ale i u „samych Polaków“, tj. nie-Mazurów wg ówczesnej terminologii, czyli w tym wypadku głównie Małopolan), nic nie mówiąc natomiast o mazurzeniu **č*, widocznie więc nawet wówczas jeszcze niezbyt razilo. (Zdaniem W. Taszyckiego wypowiedź Stojęńskiego oznacza, iż w 2. poł. XVI w. jeszcze „nie w całej Małopolsce mazurzono“; nie jest to słuszna interpretacja tej wypowiedzi).

Przyczyną najwcześniejszego zwycięstwa *c* w walce między tendencją do uzębowienia szumiących a konserwatywnym trwaniem dawnego stanu mogło być to, że uzębowieniu pozostałych szumiących *š*, *ž* przeszkadzało jakiś czas, choć ostatecznie nie było w stanie go uniemożliwić, istnienie tychże spółgłosek jako spirantów w *rž* i w grupach *prš*, *trš*, *krš*, *xrš* (przez, *trzymać*, *krzak*, *chrzan* itp.).

Inaczej mogło być w innych dzielnicach Polski. Np. można przypuszczać, że na Mazowszu mazurzenie było wcześniejsze niż w Małopolsce lub przynajmniej jej części wokół Krakowa, kształtującej język literacki, bo było widocznie już w XIII w., przed odcięciem pol. kolonii — dziś mazurzących — w Prusach od Mazowsza przez Krzyżaków (już przed podbiciem przez nich Prus chłop polscy osiedlali się w Prusach, jak świadczy wzmianka w bulli papieskiej z 1233, zob. „Historia Polski“ PAN, 1958, I, 1, 291, i fakt, że Krzyżacy zdobyli Galindię — dziś Mazury — w poł. XIII w. nie na Prusakach, lecz na pol. książętach, zob. T. Milewski, „Slavia Occid“, 1939—47, 76). Niektórzy badacze, istotnie, zakładają, że Mazowsze najwcześniej mazurzyło (A. Sieliszczew, T. Milewski, W. Taszycki, zob. jego cyt. praca), ale dwaj pierwsi nieprzekonywająco wywodzą mazurzenie to z substratu prusko-jadźwińskiego, który nie znał spółgłosek szumiących. Dlaczegoż więc substrat ten nie narzucił również językowi niemieckiemu w Prusach mazurzenia?

Ze względu na geografie mazurzenia nasuwa się myśl: czy jego kolebką nie był geograficzny środek pasa idącego z płn. wschodu, od Mazowsza, na pld. zachód, na Śląsk (gdzie mazurzenie jest pewnie też stare, sprzed czasu oderwania Śląska od reszty Polski, tj. sprzed 1327 r.) — a więc Łęczyckie, Rawskie?

Zanik dopełniacza l. p. rodz. żeń. na -e. Wg K. Nitscha, JP, 1913, 82, dopełniacz typu *ziemie, granice* usunięty został w ciągu XVII i XVIII wieku widocznie pod wpływem Mazowsza i „prowincji ruskich“ (że forma ta spychana była na pld. zachód, świadczy geografia gwarowa: formy te utrzymywały się do niedawna tylko na Śląsku i w pld. Małopolsce). Wpływ ruski możliwy, ale nie dowiedziony.

Przedrostek naj-. S. Urbańczyk, JP, 1952, 30, sądzi, że o zwycięstwie mazowieckiego *naj-* nad *na-* zdecydował w XVI w. język ukraiński. „Jeżeli szlachta z terenów ruskich, przede wszystkim zaś ukraińskich, mogła usunąć z polszczyzny kulturalnej i literackiej *a* pochylone, to równie dobrze mogła usunąć dawne *na-*, z którego by musiała usunąć co najmniej jego tradycyjne pochylenie *a*, zmniejszając dawną różnicę między *nã-* i *naj-*“. Ten pogląd poparł W. Kuraszkiewicz (zob. „Z dziejów powstawania języków narodowych i literackich“, 1956, 95). Wszystko to jest możliwe, ale nie zostało udowodnione na materiale.

Typ depczę. Wg K. Nitscha, SAU, 1924, nr 6, 4—5, typ ten wyparł dawne *depczę* itd. pod wpływem języków ukr. i brus. (podobnie jak ukr.-brus. *-icz* wyparło *-ic*). Dowody: 1) typ ten zjawia się dopiero w XVII w., przeważnie u autorów „bliskich Rusi“; najdawniejsze przykłady przytaczane przez K. Nitscha to *szczebiecząc* w 1616 u Skrodzkiego z Kolna na Mazowszu, w pobliżu brus. granicy i *depzcząc* u lwowianina Birkowskiego

(1566—1636); „wybitnie rozszerzają się te formy dopiero w w. XVIII“; 2) do dziś typ *depcę* nie objął Wielkopolski, a zatem szedł od wschodu; 3) nie ma go w innych językach zachłowania. Wpływ ukr.-brus. znalazł wg K. Nitscha podparę w gwarach mazurzących, gdzie hiperpoprawnie oddawano pierwszeństwo *č* nad *c*, jeśli tylko wypadło tym głoskom ze sobą współzawodniczyć. Ale może właśnie to jest dostateczny powód i dlatego nie mazurząca Wielkopolska zachowała dawny typ *depcę*, *szepcę* itp.? Tezę K. Nitscha o wpływie ruskim przyjął bez zastrzeżeń Z. Klemensiewicz w „Gram. hist. jęz. pol.“, 1955, 365.

Zanik form trybu warukowego z -ch Wg K. Nitscha, JP. 1913, 82, formy typu *robiłbych*, *bychmy widzieli* zanikły w ciągu XVII—XVIII w. widocznie pod wpływem Mazowsza i „prowincji ruskich“ (zepchnięte zostały na pld. zachód, gdzie są do dziś — na Śląsku i w pld. Małopolsce). Wpływ ruski możliwy, ale nie dowiedziony.

3. Nie-ukrainizmy gramatyczne

Zanik iloczasu. Z. Stieber w pracy „Czas i przyczyny zaniku pol. iloczasu“ („Sprawozd. z Czynn. i Posiedz.“ PAU, XLVI, 1945, 105—6) wyraził przypuszczenie (którego zresztą nie podjął w późniejszym „Rozwoju fonolog. jęz. pol.“, 1952), że zanik iloczasu pol. nastąpił w wyniku zarówno wykształcenia się różnic jakościowych między samogłoskami długimi i krótkimi, co czyniło iloczas fonologicznie zbędnym, jak i wpływu Rusi (Ukrainy i Białorusi), nie znającej w XV w. od dawna iloczasu. Tę myśl gotów jest przyjąć Z. Klemensiewicz, „Historia jęz. pol.“, 1961, 106, choć ogranicza ją do wschodu Polski. Jest mało prawdopodobne, by już na przel. XV/XVI w. (data zaniku iloczasu) jęz. ukr. (i brus.) mógł wpłynąć tak na fonetykę pol., skoro w. XV — to dopiero początek szerszych wpływów ukr. (i brus.) w polszczyźnie, najpierw, oczywiście, tylko leksykalnych, gdyż elementy leksykalne najłatwiej są zapożyczane (chyba że ograniczymy to rzeczywiście do wschodu, do polskich kolonii na ziemi ukr., istniejących już w XV w., ale w takim razie nie jest to dla nas ważne, gdyż interesuje nas język ogólnopolski).

Inny wariant tej koncepcji wysunął J. Szerech-Szewelow („Slavic Word“, 1952, 245): jego zdaniem początkowy impuls do zaniku iloczasu pol. mógł wyjść z Ukrainy, czego dowodem ma być to, że pozostałości iloczasu w dialekcie kaszubskim wskazują na przebieg tej zmiany z pld. wschodu na pln. zachód. Fakt tych pozostałości (dziś już właściwie zanikłych) nie jest dostatecznym argumentem: chodzi przecież o gwary peryferyjne i mniej ulegające wpływom jęz. literackiego, więc wszelkie archaizmy są tam właśnie naturalne. Jeśli na innych peryferiach archaizm

taki nie utrzymał się tak długo, to chyba dlatego, że nigdzie wpływ języka ogólnopolskiego lub innych gwar pol. nie był tak mały jak np. wśród Słowińców.

Poza tym i tu zastosujemy ten sam kontrargument chronologiczny co w poprzednim wypadku.

Wzdłużenie zastępcze. Już w 1905 K. Nitsch („Stosunki pokrewieństwa języków lechickich“, „Materiały i Prace Komisji Język. AU“, III, 6) twierdził, że „język polski i małopolski przeszły przez wspólne stadium zastąpienia różnic iloczynowych jakościowymi a następnie wspólnie straciły te różnice w zgłoskach zamkniętych spółgłoskami bezdźwięcznymi“ (to błędne, bo w ukr. jakościowe skutki wzdłużenia są i przed spółgłoskami bezdźwięcznymi). Później T. Lehr-Splawiński („Język polski“, 1947, w 2. wyd. 1951 s. 45) zwrócił uwagę na wspólne wzdłużenie zastępcze w ukr. oraz pol., czes. i słowac. jako na ostatni jego zdaniem objaw łączności międzygrupowej po rozpadzie Słowian, datowany przez niego na okres nie późniejszy od przełomu VIII—IX w. (przeczy to jednak słowom na s. 44, gdzie mówi się o l. poł. IX w. jako okresie *wcześniejszym* — okresie zbliżenia między Czechosłowakami a resztą Słowian zach. za czasów Mojmirydów i odsunięcia się Rusi, kt. wytworzyła w tym czasie odrębne cechy). Podjął tę myśl J. Szerech-Szewelow („Slavic Word“, 1952, 343), kt. przesunął ten proces na przełom X—XI w. i uznał, że szerzył się on wtedy na zachód z Rusi-Ukrainy. Szerech nie podał jednak żadnych istotnych dowodów. Datę przełomu X—XI w. wybrał oczywiście dlatego, że zanik jerów, kt. spowodował wzdłużenie zastępcze, przyjmuje się dla Polski i Czech na ok. 1000 r. (co do Polski zob. Z. Stieber, „Rozwój fonolog. jęz. pol.“, 1952, w wyd. 1958 s. 14, co do Czech — T. Lehr-Splawiński, Z. Stieber, „Gram. hist. jęz. czeskiego“, I, 1957, 60). Ale wzdłużenie zastępcze na skutek zaniku jerów było ogólnosłowiańskie, miało tylko w różnych językach różne konsekwencje: wzdłużenie mocnych jerów wszędzie stworzyło jakościowo nowe (ale różne w różnych krajach) samogłoski, natomiast wzdłużenie innych samogłosek tylko w niektórych językach doprowadziło do dalszych zamian jakościowych, które są jednak tak późne, że nie można ich ze sobą wiązać w różnych językach.

Zanik é. Z. Klemensiewicz (zbior. „Gramatyka hist. jęz. pol.“, 1955, 87), tłumacząc usunięcie é głównie na gruncie rodzimym (przechodzenie w *y* np. przed *j* a w *e* np. w końcówce *-ého* pod wpływem *tego* (por. wpływ praruskiego *togo* na powstanie całego typu *dobrogo* zamiast *do-brago*), w typie *zielé* pod wpływem typu *pole*), przyjmuje dodatkowy wpływ kresowego substratu ukr. i brus.: „Nie bez wpływu mogła być też wymowa szlachty wschodnich obszarów etnograficznie ruskich, która miała w swoim systemie wokalicznym tylko *e* i w taki sposób percypo-

wała i artykułowała także ogólnopolskie *é* albo też zbliżała je do *y*, *i*“. Nas interesuje głównie pierwsza z tych możliwości, gdyż chodzi nam właśnie o *é* > *e* jako dziś ogólnopolskie. Tymczasem na kresach ukr. zachodziła właśnie ta druga możliwość, stwierdzona, począwszy od Reja, Szarzyńskiego, Szymonowica, którzy rymowali *é* z *i*, *y*; podobnie „do dziś trzyma się nie naruszona wymowa *śnik*, *śp’iwać*“ u Polaków z Ukrainy — „nie stamtąd więc na pewno wyszedł popęd do jej usunięcia“ (Z. Stieber, „Rozwój fonolog. jęz. pol.“, 1952, w wyd. 1958. s. 43). Również u Polaków na kresach białoruskich utrzymuje się *é* czy *i*, *y* < *é*, jak świadczy odnośnie Wileńszczyzny H. Turska, zob. „Wilno i ziemia wileńska“, I, 1930, 219 (*dziwka*, *kobita*, *świca*), i odnośnie Suwalszczyzny K. Nitsch, „Dialekty jęz. pol.“, 1915, w wyd. 1957 s. 33. A zatem ani kresy ukraińskie, ani białoruskie nie przyczyniły się do przejścia *é* > *e* w języku ogólnopolskim.

K. Nitsch, SAU, 1937, 284—8, tłumaczył usunięcie *é* inaczej: tym że na przeł. XVIII—XIX w. w W-wie, gdzie stykali się ludzie z całej Polski, „Mało- i Wielkopoleanie narzucają swoje, za lepsze uchodzące, wyraźne rozróżnianie *y* i *i*“ (wobec ich zlewania się na Mazowszu) z wymową typu *łida*, *gżyx*, „a skoro (...) [mazowieckiego] *é* [np. *gżéx*] nie można fonologicznie i semantycznie (?) utożsamiać z «poprawnym» małopolskim *y* [którego się nie umie wymawiać], to się zamiast niego podstawia najbliższe mu w drugim kierunku *e*: *nieść*, *bieda*, *grzech*“. (Dlaczego *nieść*, *bieda*? Nie umie się mówić *gżyx*, więc, powiedzmy, „podstawia się“ *gżéx*, ale dlaczego również *łida* zastępuje się przez *łeda*, jeśli *łi* nie przedstawia trudności dla Mazura? Dlaczego się „podstawia“ *gżéx* a nie najbliższe *gż·ix*?). Jest to podobne nie przekonywające wyjaśnienie („podstawienie“, czyli młodogramatyczne), jak w pracy tegoż autora „Z dziejów narzecza małopolskiego“ („Symbola grammaticae in honorem J. Rozwadowski“, II, 1928) wyjaśniony został zanik nosówek w części Małopolski „podstawieniem“ *e* na miejsce „lepszego“ wielkopolskiego *ę*, sobie nieznanego (jak widać, nawet te same wyrazy się powtarzają). Z. Stieber (cyt. praca, 43—4) podobne wytłumaczenie oparł na wspomnianym tamże przez Nitscha małopolskim typie *śp’ywać*: wymowa taka, „jako bliższa pisowni mogła uchodzić za lepszą; jednak warszawianin nie przyzwyczajony do wymowy dźwięku *y* po miękkiej mógł łatwo podstawić swoje *e*“.

Bardziej przekonujące jest „analogistyczne“ wyjaśnienie. Z. Klemensiewicz, które można poprzeć obserwacją, że u C. Bazylika (1562) i rzadziej w „Proteusie“ (1564) występują rymy typu *tego* — *wiecznego* (W. Lubaś, Zesz. Nauk. UJ, 37, 1961, 117, tłumaczy to odwrotnie — tym, że *tego* miało pochylone *e*, nie dostrzegając możliwości przeciwnej interpretacji). Nowych dowodów dostarczyłoby może zbadanie, czy obszar

gwar. *tęgo* itd. (przeciw *tęgo* itd.) pokrywa się z obszarem zaniku *é* (płd. Mazowsze i płn. Małopolska wg K. Nitscha, „Dialekty jęz. pol.“, 3. wyd. 1957, 33).

Wtórna nosowość. J. Szerech-Szewelow („Slavic Word“, 1952, 338) uważał, że wtórna nosowość typu *mięszac* powstała — lub uzyskała dodatkowy bodziec — pod wpływem ucieczki od ukr. wymowy beznosówkowej. To oczywiście nie może wchodzić w rachubę, gdyż w zjawisku tym istnieje pewna regularność (pozycja po wargowej a przed szczelinową, główny ośrodek na Mazowszu), oznaczająca, że jest to rodzima tendencja, czyli „prawo głosowe“ (tyle że niemłodogramatyczne, tj. niebezwyjątkowe).

Odchylenia od repartycji o i e. J. Szerech-Szewelow („Slavic Word“, 1952, 333—9) sądził, że odchylenia od *o* typu *awiesna*, *biedro*, *mietla* itp., *bjest* oraz od *e* typu *apożoga*, *ożóg*, *czop*, *trzop*, *macocha* (ukr. **mačoxa*) itp., *bczólno*, *żółty* itp. zawdzięcza język pol. wpływowi ukr. z okresu między X a XIV w. W wypadku *wiesna* itp. jest to oczywisty wpływ miękkich wargowych, w wypadku *jest* — wpływ obocznego *jeść* i form *jeśm* itd. (co zresztą Szerech przyznaje, ale zakłada dodatkowy wpływ ukr. bez dostatecznych podstaw). Wypadki typu *pożoga*, *czop* itp. próbowano (Szober) tłumaczyć występującą też w Polsce — jak na Rusi — tendencją do depalatalizacji *že*, *če* (na *še* brak przykładów). To by szło po linii intencji Szerecha. Ale jest to szersze zjawisko, zależne nie od poprzednictwa, lecz następstwa fonetycznego: *e* > *o* zachodzi nieraz przed tylnojęzykowymi (*pożoga*, *macocha*, *wlokę* itp.) i wargowymi (*czop*, gwar. *źróbak*, *poziomka*, gwar. *dzioucha* < *dziewucha* itp.) (J. Łoś, „Gram. pol.“, 1922, I, 44; Z. Klemensiewicz, zbiorowa „Gram. jęz. pol.“, 1955, 79). To wyklucza wpływ ukr., gdzie *e* > *o* zachodziło tylko po szumiącej (przed twardą spółgłoską). W ostatnich wypadkach, które zafrapowały Szerecha (*czólno* itp.), zaszedł normalny pol. przegłos przed *ł*.

Przejście rż > ż. Wg T. Lehra-Splawińskiego („Język polski“, 1947, w wyd. 1951 s. 298) na ostatecznym zrównaniu wymowy *rż* z *ż*, które dokonało się w 2. poł. XVII- 1. poł. XVIII w., a więc w okresie nasilenia wpływów ukr.-brus. aż do wdarcia się w samą budowę gramatyczną języka pol., mogła zaważyć obcość i trudność wymowy *rż* dla kresowian. Przeczy temu to, co pisał K. Nitsch („Z historii pol. rymów“, 1912) o rymach typu *zważy* — *zdarzy*: „u żadnego z badanych przeze mnie poetów «litewskich» czy «ruskich» tego [XVIII] wieku *ż* z *rz* [się] nie rymuje“. U Polaków na Białorusi i Ukrainie wymowa *rż* utrzymywała się jeszcze w XIX w., jak świadczą autografy Mickiewicza (S. Hrabec, „Język rękopisów Mickiewicza w porównaniu z językiem dzieł drukowanych“, 1955, 44) i rymy Słowackiego typu *twarzy* — *skarży* (pisane: *skarzy*), a w pol. wyspach pod Lwowem lub Tarnopolem nawet w XX w. mówiono *rżyka*,

stolarš (Z. Stieber, „Rozwój fonolog. jęz. pol.“, 1952, w wyd. 1958 s. 69—70; S. Hrabec, „Rozpr. Kom. Język. Łódź TN“, III, 1955, 41 — tu dane z powł. buczackiego). Świadectwem utrzymywania się *rž* na Kresach jeszcze w XIX w. są też przejęte przez Rosjan w tym wieku (najprędzej z Kresów) pol. nazwiska typu *Пржевальский*, *Кржижановский*. Zrównanie *rž* z *ž* wyszło ze rdzennej Polski: pierwszy przykład zanotował W. Kuraskiewicz z 1410—18 z Pызdr (JP, 1953, 381n).

Samo datowanie przez T. Lehra-Splawińskiego „ostatecznego zrównania“ *rž* z *ž* budzi sprzeczności. Z. Stieber, op. cit., 69—70, i Z. Klemensiewicz w zbiorowej „Gram, hist. jęz. pol.“, 1955, 148 (której współautorem jest zresztą T. Lehr-Splawiński) przyjmują ostrożniej i ogólniej w XVIII. Naszym zdaniem, nastąpiło to w przeciętnym kulturalnym języku ogólnopolskim jeszcze później, gdzieś w XIX w., gdyż jeszcze w latach 1787—96 *rž* w języku ogólnopolskim było, czego dowodzą fakty, że 1) w „Sravnit'eln'ych slovačah vsch jazykov i nařečij“, S. P'et'erburg 1787—9, pol. *rz* jest stale oddawane przez ros. *рз*, 2) J. Dobrovský w „Vergleichung d. russischen u. böhmischen Sprache“, Prag 1796, 139, pisał, że wymowa polskiego *krzyk* jest taka sama jak czeskiego *křik* (= *kršik*) i proponował taką samą pisownię tego dwudźwięku w jęz. pol. jak w czeskim.

Epentetyczne l. J. Szerech-Szewelow („Slavic Word“, 1952, 339) sugeruje, że epentetyczne *l* w słowach *kropla*, *grobla* (już w 1389 r. w Poznaniu), *taplać*, *przerębla*, *targowla* (XV w.), *niemowlę*, *budowla* pojawiło się w języku pol. pod wpływem ukr. w okresie między X a XIV w. Nie próbuje jednak wyjaśnić, skąd się ono wzięło również w połabskim (*gróble*), dłuż. (*grobla*), słowac. (*hrobl'a*), nadmieniając tylko, że wymaga to oddzielnego wytłumaczenia. A przecież już te formy z innych języków zachslowiań. dostatecznie dowodzą, że była to rodzima zachslowiań. tendencja, która nie zdążyła się jednak tak konsekwentnie rozwinąć jak w językach ruskich i bałkańskosłowiańskich. Postawa Szerecha jest tu typowo młodogramatyczna: co się nie daje wytłumaczyć jako bezwyjątkowe prawo, jest zapożyczeniem. Spośród przytoczonych przez niego wyrazów rzeczywistym ukrainizmem jest tylko *hodowla*.

Bohdan Strumiński

O RACJONALNY DOBÓR HASEŁ W SŁOWNIKACH *

Niegdyś pracownik pewnej biblioteki zwrócił się do mnie z prośbą o przejrzenie książek z zakresu mojej specjalności, znajdujących się w księgozbiorze podręcznym owej biblioteki, i usunięcie z nich wszystkiego, co zbędne. W pierwszym momencie zapytałem go, czy zdaje sobie sprawę z arbitralnego, subiektywnego charakteru tak przeprowadzonej selekcji, czy uświadamia sobie, że gdyby z podobnym żądaniem zwrócił się do dziesięciu moich kolegów, nie wiadomo, czy byśmy doszli do porozumienia nawet co do połowy książek przeznaczonych do usunięcia, natomiast co do reszty nasze zdania byłyby podzielone. Po chwili namysłu stanowczo odmówiłem bibliotekarzowi, powiadając mu, że to nie specjaliści z różnych dziedzin nauki mogą wiedzieć, co powinno być w księgozbiorze podręcznym, a co w magazynie biblioteki, ale wyłącznie on sam. Gdybym był na jego miejscu, zgromadziłbym rewery wszystkich książek wypożyczonych w ciągu roku zarówno z księgozbioru podręcznego jak i magazynu, policzyłbym, ile razy każda książka została w ciągu roku wypożyczona, a rozdziału książek między magazyn a księgozbiór podręczny dokonałbym wyłącznie na podstawie częstości ich używania przez czytelników: książki najczęściej wypożyczane umieściłbym w księgozbiorze podręcznym, resztę — w magazynie. Oczywiście raz dokonawszy takiego racjonalnego doboru książek, które powinny się znaleźć w czytelni podręcznej, nie spocząłbym na laurach, ale w dalszym ciągu gromadziłbym rewery i co rok na podstawie statystyki wypożyczenia poszczególnych książek dokonywałbym przesunięć między magazynem a księgozbiorem podręcznym, wiadomo bowiem, że książek w bibliotece stale przybywa, a i zainteresowania czytelników ulegają zmianom. Z dalszej rozmowy z moim bibliotekarzem dowiedziałem się ze zdziwieniem, że różne osoby, których pieczy w przeszłości powierzony był księgozbiór podręczny, wyznawały dość dziwaczne poglądy, np. że „księgozbiór podręczny powinien stanowić przegląd wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej” (jak gdyby tego zadania nie mógł z o wiele większym powodzeniem spełniać katalog rzeczowy obejmujący wszystkie książki znajdujące się w bibliotece), albo że „księgozbiór podręczny powinien zawierać jedynie dzieła w języku oryginału” (jak gdyby co najmniej większość czytelników stanowili poligłoci), nie mówiąc już o tym, że na propozycję, żeby dla ułatwienia pracy personelu książki na półkach czytelni porozmieszczać w ten sposób, ażeby książki częściej wypożyczane znajdowały się bliżej stołu, z którego czytelnicy zabierają zamówione tomy, ktoś miał podobno odpowiedzieć, że „woźni są od tego, żeby bie-

* Artykuł ten umieszczamy jako dyskusyjny.

gali". Nikomu natomiast nie przyszło do głowy, że rozdział książek między magazyn a księgozbiór podręczny jest nie celem samym w sobie, ale jedynie środkiem usprawniającym spełnianie jednego z zasadniczych celów biblioteki, jakim jest udostępnianie zbiorów, które powinno się odbywać w ten sposób, żeby z jednej strony czytelnicy jak najszybciej otrzymywali zamówione książki, a z drugiej strony, żeby najszczuplej-
szy personel był w stanie podolać wszystkim zamówieniom. Sprawność funkcjonowania biblioteki pod tym względem można by nawet łatwo ująć liczbowo, mianowicie obliczając średni czas, jaki czytelnik czeka na książkę, oraz liczba wypożyczonych książek, jaka przypada w pewnym okresie czasu na jednego pracownika zajętego udostępnianiem zbiorów.

Muszę niestety przyznać, że od zdziwienia podobnego do tego, jakiego doznałem w rozmowie z owym bibliotekarzem, nie mogłem się powstrzymać, gdy przeglądałem niedawno zestaw haseł z dziedziny językoznawstwa do przygotowywanej obecnie *Encyklopedii Powszechnej PWN*. W zestawie tym uderzyła mnie niepokojąca dysproporcja między stosunkowo nielicznymi hasłami z zakresu fonetyki, fleksji, słowotwórstwa, składni itd., a nader licznymi hasłami dotyczącymi nazw języków i nazwisk językoznawców. Czytelnik (razem z niżej podpisanym) dowie się, kim był August Wannowski lub Zygmunt Węclewski, albo co to jest język oriya czy mowathi, natomiast nie będzie miał sposobu dowiedzieć się, co to jest *coniunctivus*, *consecutio temporum* czy *wykrzyknik*. Nie wiem, jak było faktycznie, ale śmiem przypuszczać, że redakcja *Encyklopedii* ustalała zestaw haseł w sposób podobny do tego, w jaki ów bibliotekarz chciał ustalić, które książki powinny się znajdować w księgozbiorze podręcznym, mianowicie pytając o to różnych specjalistów. Otóż trzeba wyraźnie stwierdzić, że metoda ta jest zła, bo nie jest ścisła, bo dopuszcza arbitralność i subiektywizm. Gdybyśmy dziesięciu matematykom, dziesięciu biologom i dziesięciu językoznawcom kazali ustalić pewną określoną liczbę najważniejszych haseł z zakresu matematyki, biologii czy też lingwistyki, nie ulega wątpliwości, że obok części tych samych terminów znaleźlibyśmy w odpowiedziach sporo rozbieżności. A trzeba pamiętać, że problem zaczyna się jeszcze wcześniej, mianowicie w momencie, gdy trzeba ustalić, ile haseł przydzielić w *Encyklopedii* matematyce, ile biologii, a ile językoznawstwu.

Aby znaleźć metodę lepszą, tzn. ściślejszą, zacznijmy od stwierdzenia, że racja wydawania encyklopedii obok podręczników dotyczących poszczególnych działów nauki jest wyłącznie praktyczna, jak jedynie praktyczne uzasadnienie ma rozdział książek w bibliotece między księgozbiór podręczny a magazyn. Encyklopedia nie ma być jakimś „prze-
glądem wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej” (bo do tego wystarczyłoby

zgrupowanie w ramach jednej publikacji kilkunastu czy kilkudziesięciu różnych podręczników), ale jedynie środkiem ułatwiającym szybsze uzyskanie informacji z różnych dziedzin nauki, aniżeli by to było możliwe przez wertowanie różnych podręczników. Z tego też powodu encyklopedie o układzie alfabetycznym mają — jako praktyczniejsze — znaczną przewagę nad encyklopediami o układzie systematycznym, a w obrębie pierwszych lepsze są encyklopedie typu Brockhousa czy Larousse'a o wielkiej liczbie haseł i krótkich artykułach od encyklopedii w rodzaju *Enciclopedia Italiana* o małej liczbie haseł i długich artykułach. Innymi słowy do systematycznego zapoznawania z jakimś działem wiedzy służą podręczniki, natomiast encyklopedie mają jedynie za cel szybkie, nawet błyskawiczne udzielanie zwięzłej informacji na temat takich czy innych wyrwanych, nieraz bardzo fragmentarycznych zagadnień. Chodzi jednak o to, żeby encyklopedia objaśniała nie 100 000 pierwszych lepszych haseł, ale żeby udzielała odpowiedzi na 100 000 pytań, jakie czytelnicy najczęściej mogą jej zadać. Ideałem zatem encyklopedii jest z jednej strony, żeby na maksymalną ilość pytań do niej skierowanych odpowiadała, z drugiej zaś strony, żeby liczba haseł, do których nikt nigdy lub prawie nigdy nie zajrzy, była minimalna, hasła te bowiem stanowią bezużyteczny balast. Porównując dwie encyklopedie o tej samej liczbie haseł, można by nawet liczbowo ustalić, która z nich ma lepszy zestaw haseł, mianowicie żądając od użytkowników każdej z nich, ażeby notowali zarówno, gdy znajdą szukane hasło, jak i gdy go nie znajdą, można by dla obu encyklopedii obliczyć odpowiednie odsetki.

Powstaje zatem problem, jakie pytania użytkownicy przysłej *Encyklopedii Powszechnej PWN* będą jej najczęściej stawiać. Wiadomo, że jej użytkownikami będzie szeroki wykształcony ogół polski, złożony z ludzi o średnim lub wyższym wykształceniu. Dlatego też przy ustalaniu zestawu haseł oparłbym się nie na mniej lub bardziej arbitralnych opiniach naukowców, zajmujących się nieraz sprawami zbyt szczegółowymi lub zbyt oddalonymi od zainteresowań ogółu, ale na podręcznikach szkół średnich i wyższych wszelkiego typu oraz czasopismach popularno-naukowych. Z podręczników tych i czasopism należałoby wyekscerpować wszystkie terminy naukowe oraz nazwy własne i ustalić ich częstość występowania. Następnie, zależnie od liczby haseł przewidzianych w *Encyklopedii*, należałoby ustalić minimalną ilość razy, jaką wyraz musi być zaświadczony w ekscerpowanych podręcznikach i czasopismach, ażeby stać się hasłem w *Encyklopedii*, i zestaw byłby gotów. Z pewnością przy zastosowaniu takiej metody August Wannowski i Zygmunt Węclewski oraz języki orijski i mowathi nie trafiłyby do *Encyklopedii*, ale za to czytelnik mógłby się dowiedzieć, co to jest *coniunctivus*, *consecutio temoprum* czy *wykrzyknik*. Nie chcę twierdzić, że takie roz-

wiązanie sprawy zestawu haseł *Encyklopedii* byłoby idealne, bo do tego trzeba by założyć, że podręczniki używane w naszych szkołach średnich i wyższych oraz nasze czasopisma popularno-naukowe w sposób optymalny zaspokajają potrzeby naszego społeczeństwa, ale nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że tą metodą ustalony zestaw haseł byłby lepszy od obecnego.

Jakkolwiek żyjemy w drugiej połowie XX wieku, okresie ogromnych sukcesów odnoszonych przez ścisłe metody stosujące nauki matematyczno-przyrodnicze i techniczne, do wielu humanistów — jak w mrocznym średniowieczu — mniej lub bardziej arbitralne opinie autoritetów silniej przemawiają niż fakty i liczby. Humanistami są niestety nie tylko bibliotekarze i redaktorzy encyklopedii, ale i językoznawcy. O racjonalnym doborze haseł w słownikach językowych już pisałem¹, ale nie zaszkodzi powtórzyć, jako że jest to sprawa także o wielkim znaczeniu praktycznym, słowniki bowiem z pewnością mają najwięcej odbiorców spośród wszystkich książek, których autorami są lingwiści. Oczywiście, jeśli słownik ma zawierać np. 40 000 wyrazów, chodzi bynajmniej nie o to, żeby w słowniku znalazło się jakichkolwiek 40 000 haseł, ale o to, żeby wyrazy te były jak najbardziej reprezentatywne, tzn. żeby to były wyrazy najczęściej używane. Nie powinny natomiast figurować wyrazy już wychodzące z użycia czy jeszcze niedostatecznie zakorzenione w języku, nie mówiąc już o tzw. *hapax legomena*. Pomijając wypadki, gdy leksykograf w doborze haseł kieruje się wyłącznie tzw. poczuciem językowym, czyli intuicją, przy opracowywaniu większych słowników reprezentatywność słownictwa w nich zgromadzonego usiłuje się zagwarantować przez kompletną ekscerpcję tekstów uważanych za reprezentatywne dla danej epoki. Jednak w wyborze tych tekstów leksykografowie kierują się w takiej samej mierze intuicją jak redaktorzy encyklopedii, którzy zupełnie arbitralnie poszczególnym dyscyplinom przydzielają odpowiednie limity haseł. Tymczasem i w tym wypadku powinno się moim zdaniem stosować obiektywne kryterium ilościowe, za jakie uważałbym nakład, nie ulega bowiem wątpliwości, że w wydawnictwach o wielkim nakładzie występuje język bardziej typowy dla danej epoki niż w tekstach przeznaczonych dla ciasnych kręgów odbiorców. Zatem leksykograf zamierzający opracować słownictwo jakiegoś języka na przykład w okresie, który rozpoczął się w momencie zakończenia drugiej wojny światowej, powinien zacząć od sporządzenia wykazu wydawnictw, których nakład w tym okresie przekroczył pewną ustaloną liczbę egzemplarzy. Oczywiście, gdyby za minimalną wysokość nakładu przyjąć liczbę wysoką, wśród źródeł słownika mogła-

¹ W. Mańczak, *Pojęcie ilości w języku*, *Studia Filozoficzne* 6 (1959), s. 111—127.

wiązanie sprawy zestawu haseł *Encyklopedii* byłoby idealne, bo do tego trzeba by założyć, że podręczniki używane w naszych szkołach średnich i wyższych oraz nasze czasopisma popularno-naukowe w sposób optymalny zaspokajają potrzeby naszego społeczeństwa, ale nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że tą metodą ustalony zestaw haseł byłby lepszy od obecnego.

Jakkolwiek żyjemy w drugiej połowie XX wieku, okresie ogromnych sukcesów odnoszonych przez ścisłe metody stosujące nauki matematyczno-przyrodnicze i techniczne, do wielu humanistów — jak w mrocznym średniowieczu — mniej lub bardziej arbitralne opinie autoritetów silniej przemawiają niż fakty i liczby. Humanistami są niestety nie tylko bibliotekarze i redaktorzy encyklopedii, ale i językoznawcy. O racjonalnym doborze haseł w słownikach językowych już pisałem¹, ale nie zaszkodzi powtórzyć, jako że jest to sprawa także o wielkim znaczeniu praktycznym, słowniki bowiem z pewnością mają najwięcej odbiorców spośród wszystkich książek, których autorami są lingwiści. Oczywiście, jeśli słownik ma zawierać np. 40 000 wyrazów, chodzi bynajmniej nie o to, żeby w słowniku znalazło się jakichkolwiek 40 000 haseł, ale o to, żeby wyrazy te były jak najbardziej reprezentatywne, tzn. żeby to były wyrazy najczęściej używane. Nie powinny natomiast figurować wyrazy już wychodzące z użycia czy jeszcze niedostatecznie zakorzenione w języku, nie mówiąc już o tzw. *hapax legomena*. Pomijając wypadki, gdy leksykograf w doborze haseł kieruje się wyłącznie tzw. poczuciem językowym, czyli intuicją, przy opracowywaniu większych słowników reprezentatywność słownictwa w nich zgromadzonego usiłuje się zagwarantować przez kompletną ekscerpcję tekstów uważanych za reprezentatywne dla danej epoki. Jednak w wyborze tych tekstów leksykografowie kierują się w takiej samej mierze intuicją jak redaktorzy encyklopedii, którzy zupełnie arbitralnie poszczególnym dyscyplinom przydzielają odpowiednie limity haseł. Tymczasem i w tym wypadku powinno się moim zdaniem stosować obiektywne kryterium ilościowe, za jakie uważałbym nakład, nie ulega bowiem wątpliwości, że w wydawnictwach o wielkim nakładzie występuje język bardziej typowy dla danej epoki niż w tekstach przeznaczonych dla ciasnych kręgów odbiorców. Zatem leksykograf zamierzający opracować słownictwo jakiegoś języka na przykład w okresie, który rozpoczął się w momencie zakończenia drugiej wojny światowej, powinien zacząć od sporządzenia wykazu wydawnictw, których nakład w tym okresie przekroczył pewną ustaloną liczbę egzemplarzy. Oczywiście, gdyby za minimalną wysokość nakładu przyjąć liczbę wysoką, wśród źródeł słownika mogła-

¹ W. Mańczak, *Pojęcie ilości w języku*, *Studia Filozoficzne* 6 (1959), s. 111—127.

by się znaleźć jedynie prasa codzienna, podręczniki z zakresu szkoły ogólnokształcącej, a z beletrystyki tylko parę bestsellerów. W miarę jednak obniżania minimalnej liczby nakładu do listy źródeł mogłyby wejść — w krajach o tradycji literackiej — także teksty napisane w odleglejszej nawet przeszłości, z pewnością bowiem nakład np. *Pana Tadeusza* w ostatnim piętnastolecu był wyższy od nakładu niejednej współcześnie napisanej powieści (zresztą nawet przy znacznej minimalnej wysokości nakładu niejednym wyrazem z *Pana Tadeusza* i tak by trafił do słownika poprzez wypisy w podręcznikach czy cytaty w prasie codziennej). Wreszcie przy jeszcze poważniejszym obniżeniu wysokości minimalnego nakładu na liście źródeł mogłyby się znaleźć nawet niektóre wydawnictwa techniczne czy naukowe. Z kolei z ustalonego w ten sposób wyboru źródeł należałoby wyekscerpować wszystkie wyrazy i uporządkować je według częstości występowania, by wyeliminować z nich wyrazy najrzadziej spotykane jako nietypowe dla danego okresu.

Ktokolwiek się uczył jakiegoś nowożytnego języka, musiał się nieraz zżymać, gdy czytając na przykład obcą gazetę nie znajdował w najświeższym nawet słowniku wielu słówek, gdy tymczasem w słowniku nie brak było balastu w postaci wyrazów już wyszłych lub wychodzących z użycia. Nie trudno odgadnąć, czemu tak się dzieje. Po prostu autor słownika dokonując doboru haseł opiera się przede wszystkim na słownikach wcześniej wydanych i co najwyżej kompletuje zestaw haseł przez ekscerpcję na chybił trafił wybranych nowszych tekstów. Oczywiście przy najlepszej znajomości języka i najlepszych chęciach nikt nie jest w stanie drogą intuicji ściśle określić, które 40 000 wyrazów są w danej chwili najczęściej używane. Można to ustalić wyłącznie w sposób wyżej zaproponowany.

Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że ustalenie listy wyrazów najczęściej aktualnie używanych w sposób wyżej przedstawiony przeraża możliwości autora takiego czy innego słownika. Zadania tego mogłaby się podjąć jedynie instytucja w rodzaju Polskiej Akademii Nauk. Zresztą wykonanie tego zadania przy dzisiejszych środkach technicznych (mózgi elektroniczne) nie byłoby wcale trudne. Nie wątpię, że gdyby Komitet Językoznawczy PAN podjął się publikowania co rok czy choćby co kilka lat listy obejmującej kilkadziesiąt tysięcy wyrazów polskich w porządku odpowiadającym ich częstości występowania w aktualnie ukazujących się wydawnictwach, przykład ten znalazłby naśladowców za granicą, a wówczas autorzy słowników dwujęzycznych zamiast dokonywać doboru haseł na chybił trafił, mogliby zaprezentować użytkownikom słowniki zawierające mniejszą lub większą liczbę wyrazów rzeczywiście reprezentatywnych dla danej epoki, a więc słowniki maksymalnie praktyczne.

Oczywiście w podobny sposób należałoby postępować przy redagowaniu gramatyk opisowych. Gramatyki takie, tzn. oparte na statystyce, odzwierciedlałyby rzeczywistość językową w sposób maksymalnie wier-ny, a zarazem byłyby maksymalnie praktyczne, zadając kłam niedo-rzecznej tezie głoszonej przez niektórych językoznawców o rzekomym istnieniu dwu gramatyk opisowych: teoretycznej i praktycznej. Istnie-nie takich gramatyk położyłoby równocześnie kres jałowym sporom poprawnościowym, czyli temu wszystkiemu, co zwane jest gramatyką normatywną, wiadomo bowiem, które zjawiska językowe uważa się za niepoprawne, mianowicie te, które albo już wychodzą z użycia, albo jeszcze nie weszły w powszechne użycie. Jeśli dziś między specjalista-mi od tzw. gramatyki normatywnej zachodzą różnice zdań co do po-prawności lub niepoprawności takiej czy innej wymowy, formy lub użycia, to tylko dlatego, że każdy z nich inaczej intuicyjnie ocenia roz-powszechnienie danego zjawiska. Byłby to jeden więcej triumf faktów i liczb nad autorytetami. Ale sprawa gramatyki wykracza już poza ra-my niniejszego artykułu.

Witold Mańczak

R E C E N Z J A

ANDRZEJ KORONCZEWSKI, „Polska terminologia gramatyczna”, Wrocław 1961. PAN, Komitet Językoznawczy „Prace Językoznawcze” t. 23.

Badania nad terminologią gramatyczną są bardzo potrzebne i pożyteczne, z jednej bowiem strony nauczanie języka polskiego w szkole wymaga jasności i wyrazistości, a co najważniejsze, jednoznaczności terminów gramatycznych, z drugiej zaś strony historia terminologii odzwierciedla w znacznym stopniu hi-storię danej dyscypliny i tym samym fragment historii myśli naukowej danego narodu.

Książka A. Koronczewskiego ma na celu zebranie materiałów do badań tej ważnej sprawy. Już pobieżne przejrzanie książki pozwala ocenić, że wkład pracy autora jest bardzo duży i mamy do czynienia z pozycją wydawniczą niewątpliwie cenną. Jednak mam parę zastrzeżeń, którymi chciałbym się tu podzielić. Tytuł książki nie ogranicza zawartego w niej materiału pod względem czasowym, nasuwa myśl, że autor wyzyska źródła od najstarszych do najnowszych. Tego też rodzaju przypuszczenia nasuwa wykaz źródeł (s. 82—89). Obejmuje on okres od XV w. (Jakub syn Parkosza — Traktat o ortografii polskiej) do połowy XX w. (Doro-szewski „Podstawy gramatyki polskiej” cz. I, 1952, Klemensiewicz „Zarys składni polskiej”, 1953, Klemensiewicz, Lehr-Splawiński, Urbańczyk „Gramatyka histo-ryczna języka polskiego”, 1955). Już jednak „wstęp” nas rozczarowuje. Powołując się na uchwałę Zjazdu językoznawców polskich w 1921 r. ustalającą podstawowy zrab polskiej terminologii gramatycznej, autor powiada: „zasób pojęć nazwanych

w tym spisie został uznany za kanon i tylko te terminy tu uwzględniono, które mają w nim swój odpowiednik". Jest rzeczą zrozumiałą, że trzeba jakoś każde zagadnienie ograniczyć, ale czy ta cezura nie jest w sprzeczności z tytułem i wykazem źródeł?

Przecież nie znajdziemy tu takich terminów jak *formant*, *podstawa słowotwórcza*, *leksykalizacja* (Doroszewski), ani też takich jak *wypowiedzenie*, *oznajmienie*, *określnik*, *składnik* (Klemensiewicz). To w dużym stopniu zmniejsza wartość użytkową pracy. A szkoda.

Poza wstępem (s. 5—6) i zakończeniem (79—80) książka ta składa się z części opisowej (7—78) omawiającej poszczególne źródła i wyliczającej terminy wprowadzone przez autorów tych dzieł. Przyjęto tu układ chronologiczny. Ostatnim z szerzej omawianych źródeł jest zgodnie z założeniem wstępnym uchwała z 1921 r. Układ chronologiczny ma również wykaz źródeł.

„Bibliografia i opracowania” (81—82) nie mają ani chronologicznego, ani alfabetycznego układu, zresztą, tych pozycji jest tak niewiele, że nie nastęcza to zbyt wielkich kłopotów. Strony 90—114 wypełnił słownik, a właściwie indeks terminów gramatycznych w układzie alfabetycznym, przy czym terminy łacińskie stanowią gniazdo, w którym zebrane są wszystkie polskie odpowiedniki w porządku chronologicznym pojawiania się, a hasła polskie są odsyłane do odpowiednich stron pracy.

W części opisowej autor traktuje termin łaciński jako definicję terminu polskiego. Stwarza to możliwość jednolitego i jednorodnego sposobu traktowania wszystkich terminów, lecz jednocześnie, oczywiście wbrew woli autora, nasuwa przypuszczenie, jakoby treść i zakres poszczególnych terminów w ciągu ostatnich 500 lat nie uległy zmianie. Zawiniło tu założenie, że terminy traktować się będą wyłącznie formalnie bez wnikania w kwestię, jaka treść odpowiada danemu terminowi.

Z drugiej strony obserwujemy pewne niedogodności posługiwania się terminologią łacińską jako definiendum. Terminologia ta nie jest zupełnie jednoznaczna. Np. opisując B. V. Malickiego „Klucz do języka francuskiego” (Kraków 1700) Koronczewski wypisuje (s. 22) terminy dotyczące czasownika, a użyte w tym podręczniku: „*genus activum* — rodzaj czyniący, *verbum passivum* — słowo cierpiące, *passyw*”. Czy Malicki raz używa *genus*, a raz *verbum* przy opisie kategorii strony czasownika, czy Koronczewski chciał tu coś zaznaczyć raz używając jednego, a raz innego terminu łacińskiego jako objaśnienia? Trudno to zrozumieć.

Niestety terminy dotyczące strony czasownika są bardzo niekonsekwentnie zestawione i w indeksie. Aby je zebrać, trzeba szukać pod hasłami: *genus* (= *vox*), *genus activum*, *genus passivum*, *genus reflexivum*, *verbum activum*, *verbum passivum*, *verbum reciprocum*, oraz *significatio*. Od tego ostatniego terminu indeks odsyła do *znaczenia*. Tu zaś odsyłacz do Dobrackiego (1668 r.) i Malickiego (1700 r.); nikt po nich nie używa tego terminu w opisie czasownika, a nie odpowiada on ani *modus*, ani *genus*, bo oba te terminy autorzy znają i mają inne odpowiedniki. Czy nie należałoby wyjaśnić, jakiej kategorii odpowiadał termin *znaczenie* u Dobrackiego i Malickiego i dlaczego wiąże się go z *genus* (= *vox*)?

Jeszcze wracam do terminów dotyczących strony czasownika. Po przejrzaniu 8 wyżej podanych gniazd okazuje się, że terminu „słowo, które z przykładaniem *namiestnictw* się formuje” użytego przez A. Stylę (1675 r.) nie znajdziemy, bo autor umieścił go w indeksie wyłącznie jako samodzielne hasło nie wiążące z gniazdem *verbum reciprocum*.

I na odwrót wyraz *łącznica* występuje w gnieździe *copula*, ale nie został wyodrębniony jako hasło samodzielne, więc nie wiadomo, kto i kiedy go używał i gdzie go w książce szukać.

Podobnie w gnieździe *pronomén interrogativum* występuje termin *namiestnictwo pytające*, a w gnieździe *pronomén* nie występuje termin *namiestnictwo*. Dlaczego?

Dlaczego też od terminu *namiestnictwo pytające* odsyła się do str. 18, gdy tam ani razu nie występuje wyraz *namiestnictwo*?

To nie jest łatwo napisana książka, korzystanie z niej połączone jest z dużą stratą czasu. Jednak nakład wysiłku autora włożonego w zebranie tak dużego materiału był bardzo duży. Doprawdy żal, że tak piękne i bogate materiały nie zostały dopracowane teoretycznie i że s erckie perspektywy wiążące się z opracowaniem terminologii nie zostały przynajmniej częściowo ukazane. Praca ta jednak z pewnością będzie ważną pomocą zarówno w dalszych pracach nad historią terminologii gramatycznej, jak i w pracach nad historią językoznawstwa w Polsce.

Andrzej Maria Lewicki

O „KSIĘŻYCOWYCH“ NEOLOGIZMACH W JEZYKU FRANCUSKIM

W roku 1959 w przeglądzie prasy prowadzonym pod nazwą „Co pi-
szą o języku?“ (PJ z. 9) omówiłem pokrótce sprawę francuskich nowotwo-
rów „*alunir, alunissage*“ (oraz ich ewentualnego potomstwa) — terminów
wyrosłych niewątpliwie na glebie dziennikarskiego entuzjazmu, a wywo-
łanych epokowym wydarzeniem wystrzelenia radzieckiej rakiety na księ-
życ i kilka uwag poświęciłem echem tych poczynań językowych na grun-
cie polskim, wyrażając się sceptycznie co do potrzeby i przydatności ta-
kich neologizmów i przestrzegając przed nadmiernym w tym kierunku
rozpędem. Z niedowierzaniem przy tym potraktowałem wyczytaną w pol-
skich dziennikach wiadomość o tym, jakoby Akademia Francuska po-
śpieszyła wyraz *alunir* już wprowadzić do najnowszego (ja myślę!) wyda-
nia swego słownika. Czy się to rzeczywiście stało, czy też się mylę —
wciąż jeszcze nie wiem; że jednak w sferach naukowych w każdym razie
owo „księżycowanie“ dotychczas wywołuje poważne zastrzeżenia i sta-
nowcze sprzeczności — przekonałem się niedawno, mianowicie po przeczy-
taniu artykułu p. André George, zamieszczonego na łamach „Figaro“
(z 26 maja r. b.). Argumentacja autora francuskiego — a więc głos pły-
nący bezpośrednio z ojczyzny cmawianych nowotworów — argumentacja
zbieżna z moimi refleksjami, wydaje mi się warta zasygnalizowania pol-
skim czytelnikom. Pozwolę więc sobie wynotować kilka uwag z owego
artykułu, wymownie zatytułowanego: *Oublions „alunir“*.

Na wstępie autor z ubolewaniem (które osobiście szczerze podzie-
lam, bo i w polszczyźnie nie wygląda to mile) konstatuje, że zarówno

w mowie jak w piśmie panoszy się — dyktowany tempem dzisiejszego życia — pęd do skrótów i „zbitek literowych“; z drugiej zaś strony obserwujemy dążność odwrotnego typu: modę tworzenia nowych wyrazów — przy każdej okazji... i bez okazji.

Najpierw ukuto *alunir* i *alunissage*. Bo — jak z francuskim dowcipem stwierdza autor — dotychczasowe *atterrir* i *atterrissage* wydało się staroświeckie i przyziemne... Czemuż to? — pyta. Pamiętajmy, że już Rabelais wspomina o *terytoriach* niebieskich, a Fontenelle powiada, iż „księżyc jest ziemią zamieszkałą“ oraz że „uczeni odkryli tam ziemię, morza, jeziora, góry...“, Flammarion wreszcie całą książkę zatytułował „Ziemię niebieskie“ („Les terres du ciel“).

W tym też duchu wypowiedział się francuski komitet doradczy w sprawach terminologii naukowej (Comité consultatif du langage scientifique) powołany przez Akademię Nauk (Académie des Sciences), jednoznacznie potępiając używanie *alunir* i *alunissage* i podkreślając, że wyrażenia *atterrir* i *atterrissage* nie wywołują niejasności ani dwuznaczności (*ambiguïté*). Następnie André George wyraża całkiem podobne moim obawy wobec perspektywy ewentualnego *avénusir* itp. i przypomina, że istniejący już (od czasu wynalezienia hydroplanu) termin *amerrir** stosuje się nie wyłącznie gdy chodzi o zetknięcie się z morzem, lecz także z rzeką, jeziorem itp. (W najbardziej zresztą zainteresowanym środowisku lotniczym tego *amerrir* naogół się unika, pisząc i mówiąc raczej po prostu: „un hydravion se pose“).

Wreszcie autor zaznacza, iż owo *alunir* i *alunissage* dźwiękowo kojarzy się raczej z *alunem* (alun) niżeli z *księżycem* (lune).

Gabriel Karcki

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

Przeplacić: przyplacić

Kierownik Szkoły Podstawowej w Rzepienniku Strzyżewskim w powiecie gorlickim prosi o wyjaśnienie, która z dwóch form jest poprawna: „przeplacić życiem” czy też „przyplacić życiem”. — Poprawna jest tylko forma ostatnia: *przyplacić życiem*. Tradycja językowa nie wykazuje w tym wyrazie żadnych wahań, z tym najwyżej zastrzeżeniem, że dawniej obok konstrukcji *przyplacać co czym* była w użyciu konstrukcja: *przyplacać czego czym*. Knapski cytował w swoich Adagiach, czyli Przysłowiach, zwrot: „Przyplacisz tego” wyjaśniając, że znaczy

* Zauważmy ubocznie, że dziwaczna ta pisownia (zamiast logicznego: *amerrir**) powstała oczywiście przez analogię właśnie do *atterrir*.

to „stanie to kością w gardle”. Linde podaje z Naruszewicza: „Lud ubogi przyplacał zawsze ambicją (jest to dawna forma biernika, znacząca więc *ambicję*) i niesprawiedliwość panujących”. Przykład ten powtórzony jest w słownikach Wileńskim i Warszawskim.

Forma *przeplacić* znaczy «zapłacić za co powyżej wartości». Zwrot *przeplacić życiem* nie istnieje. Jest w języku polskim pewna liczba wyrazów, w których nastąpiło nie uzasadnione znaczeniowe pomieszczenie prefiksów (przedrostków) *prze-* i *przy-*.

Dzisiejsza *przylbica* przed wiekiem XVI była *przelbicą* i ta forma nazwy się tłumaczyła jako oznaczająca „część hełmu zwisająca *przez leb*”, czyli przez czoło; czasownikowi *przebywać* odpowiadał rzeczownik *przebytek* oznaczający miejsce przebywania, dziś używamy formy *przebywać*, ale o miejscu przebywania mówimy *przybytek*. Już w XVI wieku zwracał uwagę Szymon Budny, że „pospolicie piszą *przybytek*, ale lepiej *przebytek* od *przebywania*”. Ta słuszna uwaga nie miała wpływu na historię wyrazu. *Przybytek* ma sens w przysłowiu „od przybytku głowa nie boli”. Obok czasownika *przewodzić komu* używamy formy *przywódca*. Zamiast jak dawniej *przegrywka* w znaczeniu «próby gry, gry wstępnej» mówimy *przegrywka*, chociaż formie łacińskiej *preludium* lepiej odpowiadała forma *przegrywka* (jako termin muzyczny było to prawdopodobnie tłumaczenie wyrazu łacińskiego). Mówienie *przeplacić życiem* zamiast *przyplacić życiem* byłoby tworzeniem nowego przykładu pomieszczenia przedrostków, tym razem polegającego na zastąpieniu dawnego *przy-* nowym *prze-*; nie ma żadnej racji, żeby to robić.

Łącznik — użycie.

Czy w nazwie miejscowości Dąbrowa-Dołęgi należy między obu członami nazwy pisać łącznik? — Owszem, bo jest to taki sam typ jak: *Warszawa-Okęcie*, *Kraków-Płaszów*, *Busko-Zdrój*. Nie pisze się łącznika w dwuwyrzowych nazwach miejscowości, jeżeli jeden ze składników nazwy jest przymiotnikiem, jak w typie *Warszawa Główna*, *Warszawa Wschodnia*. W nazwie *Skarżysko-Kamienna* pisze się łącznik, bo część druga jest wprawdzie przymiotnikiem, ale przymiotnik ten nie jest określeniem części pierwszej, jak widać z samej różnicy form obu członów nazwy. Jest to taki typ nazwy jak *Kobyle-Gródek* pod Rożnowem, to znaczy jest to połączenie dwóch nazw równorzędnych i pierwotnie niezależnych od siebie. W takich wypadkach łącznik jest stosowany.

Co do nazwy *Zakład naukowobadawczy*, to przymiotnikowe określenie wyrazu *Zakład* powinno być napisane łącznie jako jeden wyraz. *Zakład naukowobadawczy* jest zakładem, w którym pewne zagadnienia badane są naukowo; naukowość jest dodatkową cechą badawczości, dlatego też powinna tu mieć zastosowanie pisownia łączna.

W. D.

KOMUNIKAT 1

Członkowie i placówki PAN, towarzystwa naukowe subwencionowane przez PAN i pracownicy naukowcy mogą zgłaszać prenumeratę w *Ośrodku Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych PAN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki, 16 piętro, tel. 6-31-95.*

KOMUNIKAT 2

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę „Poradnika Językowego” przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% wyższa od ceny podanej niżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa, konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12.

KOMUNIKAT INFORMACYJNY

Redakcja Poradnika Językowego zawiadamia Czytelników, że od dnia 1 lipca 1958 r. Poradnik Językowy nie jest sprzedawany w kioskach. Można go otrzymywać tylko w prenumeracie. Warunki prenumeraty p. Komunikat 2.

ADRES ADMINISTRACJI:

P.K.P.W. „RUCH” — WARSZAWA, UL. SREBRNA 12. TEL.: 8-05-42
WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna z przesyłką pocztową 60.— zł (10 zeszytów)

Przedpłata półroczna z przesyłką pocztową 30.— zł (5 zeszytów)

Cena pojedynczego zeszytu 6.— zł, podwójnego 12.— zł.

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

pod redakcją prof. dr W. Doroszewskiego

Tom I, str. 1206, obejmuje litery A—C,	zł 220,—
Tom II, str. 1394, obejmuje litery D—G,	zł 220,—
Tom III, str. 1361, obejmuje litery H—K,	zł 220,—

Składać się będzie z dziesięciu tomów uzupełnionych jednym tomem indeksu słowotwórczego, którego przeznaczeniem jest ukazanie budowy słowotwórczej języka polskiego. Kolejne tomy ukazywać się będą w odstępach rocznych.

Słownik opracowywany jest przez zespół redakcyjny pod kierunkiem prof. dra Witolda Doroszewskiego, członka rzecz. PAN. Przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego jest prof. dr Witold Taszycki, członek rzecz. PAN. Po słowniku Lindego (1807—1914 r.) i Słowniku Warszawskim (Kariłowicza-Kryńskiego-Niedźwiedzkiego, 1900—1927 r.) jest to trzecie podstawowe opracowanie słownictwa ogólnopolskiego, będące kontynuacją najlepszych tradycji leksykografii polskiej, bogatsze wszakże od poprzednich prac o osiągnięcia wiedzy językoznawczej naszych czasów.

Słownik zawiera cały zasób wyrazów mowy polskiej, które były w użyciu na przestrzeni dwóch ostatnich stuleci, jak również wyrazy nowe, powstałe współcześnie. Znaleźć w nim można wszystkie potrzebne informacje o wyrazach języka ogólnopolskiego, a więc nie tylko to, co wyraz znaczy, lecz także, jak należy tego wyrazu używać, jakie są najwłaściwsze jego połączenia z innymi wyrazami, uwypuklające jego treść znaczeniową i nie dopuszczające do powstawania błędnych, niejasnych, wypaczonych sformułowań.

Do poszczególnych wyrazów Słownik podaje formy poprawnej odmiany gramatycznej, objaśnienia różnych znaczeń danego wyrazu (definicje numerowane), charakterystyczne przykłady użycia wyrazu w każdym ze znaczeń, utarte zwroty frazeologiczne, w których wyraz ten występuje.

Przykładami użycia wyrazów są cytaty z dzieł znanych pisarzy ze wskazaniem autora i strony dzieła, z którego cytat zacytowano.

W ten sposób użytkownik Słownika uzyskuje jasny, udokumentowany obraz historycznego rozwoju znaczenia i stylistycznego użycia wyrazu.

Słownik będzie dziełem niezbędnym dla każdego, kto dba o czystość i bogactwo mowy ojczystej, kto rozwija swą wiedzę, dąży do podniesienia swych kwalifikacji w pracy biurowej, redakcyjnej, pedagogicznej, naukowej i innej. Powinien znaleźć się w każdej bibliotece, w domach studentów i nauczycieli, działaczy oświatowych i naukowców, pracowników biur i urzędów i wszystkich miłośników języka.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „WIEDZA POWSZECHNA”